MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 33. WARSZAWA, 28 LIPCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

Z DZIEJÓW RUCHU NARODOWEGO

SŁOWA, które tutaj piszę, są komentarzem do artykułu poniżej zamieszczonego: „Antysemityzm wśród inteligencji“. Wyszedł on z pod pióra Jana Ludwika Popławskiego w r. 1889 i drukowany był w „Głosie“ (nr. 44).

Sięganie pamięcią wstecz jest nietylko potrzebą uczuć; potrzebne bywa do zrozumienia tego, co jest dzisiaj i co będzie jutro. Ważne są okresy wspominań nie dziesięcioletnie, lecz te dłuższe, które mieszczą zmianę pokolenia od kolebki starego do kolebki nowego. Mamy od czasu 1889 r. czterdzieści lat, nowe już pokolenie przerabia zagadnienia wtedy poruszane. Linja dziejowa, gdy się jej bliżej przypatrzeć, składa się z połączonych płaszczyzn, na których się ustawiają pokolenia do walki z przeszkodami wewnętrznemi, mającemi też cykle odpowiednie. Rzecz bowiem dzieje się w rytmie pokoleń.

Dzieje nowoczesnej myśli polskiej, która nurtować musiała w społeczeństwie długi czas niemal konspiracyjnie, zanim w zamęcie wojennym ujawniła się, zrealizowała i dała nowe życie narodowi polskiemu, były w dużym stopniu dziejami walki ze sprzeczną dążnością nie tyle interesów, ale sposobu myślenia Żydów. Była to walka organizmu, który chciał żyć całą pełnią, z ciałem obcem, nie dającem się zasymilować, owszem szukającem swego wzmożenia w żydostwie całego świata, co przy szybkiem rozwoju idej międzynarodowych stawało się coraz łatwiejszem.

Cóż to było np. przed dziesięciu laty na kongresie pokojowym? W ostatniej chwili, gdy już linja granicy zachodniej Polski była uznana, żydzi, używszy do tego Lloyda George'a, ratowali dla Niemiec co się dało, aby osłabić strukturę Polski.

„W końcu marca 1919—pisze historyk i naoczny świadek zdarzeń — przybyli z Ameryki delegaci Żydów amerykańskich, którzy mieli dostęp bezpośredni do prezydenta Wilsona i złożyli mu memorjał, w którym dużo miejsca poświęcono Polsce i napastowano gwałtownie stronnictwa narodowe polskie za rzekome prześladowanie Żydów. Wynikiem akcji zakulisowej, wytrwałej i konsekwentnej było zepsucie pierwotnych, ciężką pracą Komitetu Narodowego i pierwszych miesięcy istnienia Delegacji (Paderewski) zdobytych pozycyj, tudzież—dążenie do odsunięcia Polski od morza i do odmówienia jej obszaru Górnego Śląska“! (S. Kozicki. Sprawa granic Polski. Warsz. 1921, str. 79).

Historja zdaje sobie doskonale sprawę już dzisiaj, co było przyczyną, w czasie wojny i głębiej od r. 1903 — 1905, rozłamu w społeczeństwie polskiem, kiedy zbliżała się chwila rozstrzygnięcia sprawy polskiej, co było przyczyną fałszywych orjentacyj, walki i nienawiści w łonie inteligencji polskiej. My Polacy, którzy byliśmy głównym przedmiotem rozgrywki wojennej, mając na sobie główny ciężar Żydów, zrozumieć mogliśmy najlepiej siłę suggestji i intryg żydowskich przeciw nam. Mówimy o suggestji, bo czyż ci, co działali przeciw jawnemu interesowi Polski, zdawali sobie sprawę z procesów psychicznych, które niemi władały?

Czyż jest przytomny, czy czuje po polsku Polak, który dzisiaj potrafi wobec obozu narodowego, wyrażającego dążenia historyczne Polski, przybrać taką postawę:

„Jesteście plugawym wrzodem na ciele Rzeczypospolitej i możecie sobie śmiało zakonotować, że tak, jak zaczęliśmy—doprowadzimy do końca dzieło doszczętnego zniszczenia tej nieuleczalnej zgnilizny, którą wy jesteście. Mamy na to dość siły i nie zbraknie nam stanowczości“. („Głos Prawdy“ z 17 lipca 1929 r.).

Jest to okrzyk obozu triumfującego, któremu się zdaje, że już pokonał życie historyczne narodu. A to poczucie siły, właściwie ten „tupet“ ma swoją historję. Tylko ludziom, zawierzającym się opinji żydowskiej,

może się wydawać, że taki okrzyk pochodzi z duszy społeczeństwa polskiego. Okrzyk ten — to przełożone na język polski i spotęgowane w megafonie chwilowego triumfu złorzeczenia żydowskie, które już szeptem zaczęły się w r. 1889, a na kongresie w r. 1919 znalazły ujście w memorjale do mocarstw.

Ruch narodowy, znajdujący swoją formułę w umyśle J. L. Popławskiego, wyczuł już wtedy potrzebę usamodzielnienia myśli polskiej od opieki żydowskiej, która tej myśli fałszywy bieg nadawała. W Warszawie nie mówiło się krytycznie o tym stosunku do Żydów. Wśród inteligencji panowało pobratymstwo z żydami, oparte na wierze w możliwość gruntownej asymilacji. Żydzi dawali ton życiu umysłowemu Warszawy. Antysemityzm Klemensa Junoszy Szaniawskiego, a zwłaszcza Jana Jeleńskiego („Rola") był źle widziany. Jeleńskiemu z trudem udało się ocalić dobre imię, takie potwarze na niego rzucano. Antysemityzm, który zresztą nigdy nigdzie nie wygasa, tlił się coraz szerzej na terenie obrony ekonomicznej.

Bezpośrednim powodem artykułu Popławakiego była broszura Szaniawskiego o wyzysku ekonomicznym ludu ze strony przekupniów żydowskich. Popławski pierwszy w tej dobie zwrócił uwagę, że w stosunkach między Polakami a Żydami chodzi o rzeczy większe — o prawo gospodarowania w cywilizacji polskiej, która jest budową duchową. Łatwo sobie wyobrazić, jakiem echem rozszedł się ten głos po sferach oświeconych warszawskich i krakowskich, zupełnie do rozumienia tego stanowiska nieprzygotowanych. Odwagę Popławskiego trzeba mierzyć tem, że w samym „Głosie" pracowali z nim razem Żydzi, jak Z. Heryng, lub pisarze tak im oddani, jak L. Krzywicki.

Popławski musiał tę sprawę jasno postawić. Ona bowiem już dojrzała. Odczuć ją mógł umysł wrażliwy dopiera wtedy, bo właśnie dorosło było pierwsze pokolenie żydów, urodzonych w zaborze rosyjskim po równouprawnieniu Żydów z Polakami, dokonanem przez carat.

Popławski dlatego był publicystą twórczym, że odczuwał drgnienia bezpośrednie życia zbiorowego. To było dobre *medium* polskiej myśli politycznej. Wyczuł tak jedno drgnienie w życiu polskiego ludu gdy już dojrzało jego pokolenie pierwsze w warunkach nowych po uwłaszczeniu (1864) i to wyczucie dało początek myśli jego politycznej — pozytywnej; a teraz wyczuł, że już inna jest postawa w równouprawnionem (od r. 1862) pokoleniu żydowskiem. Tu znalazł zasadę swojej postawy wobec żydów—negatywnej.

W dziesięć lat potem w r. 1899 „Głos" (nie było już wtedy Popławskiego w Warszawie) również złożył pierwszy deklarację wobec rodzącego się Syonizmu. Wówczas to fala wielmożności i zaufania w siebie uderzyła Żydom do głowy, poczęli tedy tworzyć kadry bojowe w celu realizowania owoców równouprawnienia na terenie politycznym. Konsekwentnie trzeba było znowu powiedzieć, że wolimy widzieć ich front, niż znosić skutki wtrącania się ich do naszej cywilizacji i polityki.

Życie nasze wewnętrzne w zaborze rosyjskim i austrjackim było pasmem tarć w warunkach tak złej kultury politycznej, że pod wpływem Żydów, którzy dzierżyli w swem ręku kadry socjalistyczne i posiłkowali się masonerją, dzielnice te miały nieraz oblicze dwuznaczne: przeciwko obozowi narodowemu stawali Polacy we wszystkich poczynaniach, nawet tragicznych dla narodu. Nie było tego w zaborze pruskim z powodu nieobecności Żydów. I teraz życie polskie jest tam jednolite.

Popławski pierwszy ostrzegł, że nie należy Żydów dopuszczać do gospodarowania w dobrach moralnych Polski. Nienawiść dzisiejsza do obozu, wyrażającego świadomość historyczną Polski, pochodzi z opanowania dusz przez Żydów. Ich to jest koncepcja, że wyznawanie interesów narodowych nie leży w naturze życia obywatelskiego, lecz że jest „partyjnictwem". A siłą ich jest stałość duchowa Polaków, którzy w to wierzą.

Chcemy wkrótce ogłosić pracę szczegółową o stanowisku Popławskiego w sprawie żydowskiej. Słowa te i artykuł Popławskiego niech będą wprowadzeniem tego przedmiotu do rozważań.

ZYGMUNT WASILEWSKI

ANTYSEMITYZM WSRÓD INTELIGENCYI

W NIEDAWNO wydanej broszurze p. Klemens Junosza, sprowadzając kwestyję żydowską u nas wyłącznie prawie do wyzysku ludności chrześcijańskiej, zwłaszcza jej warstw pracujących, przez ciemną, fanatyczną i zdemoralizowaną masę żydowstwa chałatowego, podaje jako jedynie skuteczne w danych warunkach rozwiązanie tego zagadnienia — oświecenie i przyuczenie próżniaczej masy do zajęć produkcyjnych. Stary ten komunał, który ubarwił autor — bezwątpienia najlepszy u nas znawca życia żydowskiego — wieloma nader trafnemi i ciekawemi spostrzeżeniami, właściwie niczego nie rozstrzyga i nieodpowiada bynajmniej istotnemu stanowi rzeczy.

Gdyby o wyzysk jedynie chodziło, nie byłoby wcale odrębnej kwestyi żydowskiej, bo stwarza ją dopiero kombinacyja pewnej grupy objawów społeczno-ekonomicznych z czynnikami rasowymi, etycznymi a nawet wyznaniowymi. Ten prąd, który nosi nazwę antysemityzmu i przybiera coraz poważniejsze rozmiary, w drobnej tylko mierze jest ruchem ekonomiczno-społecznym i, jako taki, nie posiada żadnych, wyraźnie sformułowanych dążeń. U nas zaś antysemityzm, zaznaczywszy się przed kilku laty bardzo dobitnie w formie wybuchu namiętności ludowych, obecnie coraz bardziej ogarnia sfery inteligentne i uwydatnia się w ostatnich czasach, jako wy-

raźnie odczuwane i nawet formułowane przeciwieństwo inteligencyj polskiej i inteligencyi żydowskiej.

Okazuje się więc, że to niby wszechskuteczne *panaceum* oświaty wywiera wpływ bardzo nieznaczny i że antagonizm między oświeconym żydem i oświeconym chrześcianinem nie tylko że istnieje, ale zaostrza się nawet.

Rozumie się, nie w tym antagonizmie spoczywa idzeń kwestyi żydowskiej u nas, ale w każdym razie jest on jednym z ważniejszych jej objawów, należy więc przyczyny jego charakter i wyjaśnić.

Wzrost antysemityzmu, mniej lub więcej uświadomionego, wśród warstwy inteligentnej jest objawem aż nadto widocznym dla każdego, kto sięga pamięcią o 15, a nawet 10 lat w tył. Najlepszą wskazówkę daje w tym względzie ucząca się młodzież, która z powodu swej wrażliwości jest najczulszym barometrem zmian opinji publicznej. Z drugiej strony młodzież najszczerzej uprawia kult ideałów humanitarnych. A jednak wśród niej właśnie łatwo zauważyć objawy wzmagającego się rozbratu i to nietylko w zakresie stosunków towarzyskich. Zdarzają się wprawdzie dość liczne wyjątki, ale, jak wszelkie wyjątki, dowodzą właśnie istnienia ogólnego prawidła. Dokładniej nie możemy tu poruszać tej sprawy, poprzestajemy więc tylko na zaznaczeniu faktu, znanego wszystkim, którzy obserwują bodaj zdaleka tę sferę stosunków. Przejdźmy teraz do organu opinii publicznej, jakim jest prasa.

Dawno minęły te czasy kiedy pismo czynić musiało akt żalu za grzechy za to, że ośmieliło się wspomnieć żartobliwie o nosach garbatych. Dzisiaj najumiarkowańsze w kwestyi żydowskiej dzienniki przemawiają nieraz o żydach w ten sposób, w jaki nie odzywały się przed 10 laty najbardziej wrogo względem nich usposobione. Jest to tymbardziej charakterystyczne, że prasa nasza, jak wiadomo, w znacznym stopniu, bezpośrednio lub ubocznie zależną jest od żydów — wydawców i prenumeratorów. Jeżeli więc coraz ostrzej przeciw nim występuje — a tak jest w istocie — to dowód, że ulega, nieraz może wbrew woli, coraz silniejszemu parciu opinii publicznej.

Niedawno z racyi niezatwierdzenia przez sąd pięciu młodych adwokatów-żydów czytalismy prawie że pochwały tego ograniczenia w dziennikach bardzo ostrożnych i umiarkowanych, a „Kraj", który tak umie zręcznie lawirować, pomieścił artykuł bardzo spokojny, ale z niemiłosierną otwartością zaznaczający konieczmie tylko ograniczeń ale i wyodrębnienia inteligencyi żydowskiej. Co więcej Bolesław Prus, najstalszy może dotychczas obrońca żydów w ostatnich czasach tak zaczął o nich pisać, że oburzony „Izraelita" nazwał go za to „bezwstydnikiem". Fakt ten, zdaniem naszem, zasługuje na szczególną uwagę. Prus jest to publicysta na wskroś samodzielny, niezależny, który nie będzie hołdować modzie, ale który — często intuicyjnie — odczuwa wszelkie żywe prądy opinii publicznej.

Już z powodu fundacyi bar. Hirscha oświadczył się on poniekąd za ograniczeniami żydów w pewnym względzie, obecnie zaś, z właściwą mu szczerością zdania, uznaje np. słuszność a raczej potrzebę ograniczeń procentowych w szkołach i t. p. Nie tyle zresztą ważnem jest, co mówi, ale jak mówi — a stosuje się to do całej prasy. Otóż w wystąpieniu Prusa, jak również w głosach dzienników coraz wyraźniej brzmią nuty rozdźwięku, coraz jaśniej zarysowują się dwa odłamy — my i wy — coraz silniej czuć się daje jakieś poróżnienie, jakaś niechęć wzajemna.

Fakt tym więcej zasługuje na uwagę, że antysemityzm tego rodzaju znajduje wyznawców wśród ludzi zupełnie wolnych od t. zw. przesądów rasowych i wyznaniowych, że opiera się nie na różnicy poglądów społeczno-ekonomicznych, ale raczej na całym splocie nieświadomych usposobień. Oprócz więc przyczyn ogólnych, które wywołały ruch antyżydowski w szerszym zakresie, powinny być jeszcze przyczyny specyjalne, wpływające na powstanie tego wrogiego względem żydów usposobienia.

Równo-uprawnienie żydów, dokonane prze dwudziestoma kilkoma laty, otwarło przed nimi wrota do wszelkiej karyjery, dostępnej krajowcom i wprowadziło do inteligencji naszej cały zastęp żydów, którzy otrzymali wyższe lub średnie wykształcenie. Powstała wogóle silna konkurencyja między przedstawicielami warstwy inteligentnej. Dwie profesyje—adwokatura i medycyna, opanowane zostały w znacznej części przez żydów, a do innych zajęć „wyzwolonych" wciskają się oni w coraz większej liczbie. Ale konkurencyja istnieje wogóle między aspirantami do zajęć liberalnych, dla czegóż więc przyjęła ona specyjalnie anty-żydowski charakter, zkąd pochodzi to wyróżnienienie współzawodników żydów, którego nie było jeszcze przed kilkunastu laty, chociaż i wtedy dosyć już ciasno było ludziom, szukającym stanowisk uprzywilejowanych.

Zdaje mi się, że żydzi sami w pewnej mierze przyczynili się do tego rozbratu, pierwsi wyróżniając i protegując „swoich". Ale oprócz tego działały i inne przyczyny, bo widzimy przecie, że wrogie usposobienie względem żydów istnieje np. i w tym odłamie inteligencyi, który nie obawia się wcale współzawodnictwa i objawia się ono wcale nie z powodu jakichś spraw realnych, praktycznych.

Sądzę, że główną przyczyną tego usposobienia wśród inteligencyi, nadającego właśnie walce współzawodniczej charakter antysemicki, są pewne właściwości etyczne, obyczajowe i społeczne nowo-wytworzonej w ciągu ostatnich lat dwudziestu inteligencyi żydowskiej.

Pierwszymi pionierami uspołecznienienia i asymilacyi żywiołu żydowskiego z ludnością miejscową byli ludzie — bardzo nieliczni — którzy posiadali pewną w tym względzie tradycyję, prawda — świeżą dosyć, bo datującą się, co najwyżej, od początków bieżącego stulecia. Byli to synowie ojców już względnie wykształconych i, co ważniejsza, ludzi, którzy w trudnych ówczesnych okolicznościach podjęli wielkie zadanie uobywatelenia żydów.

Każdy z przedstawicieli tej nielicznej kategoryi żydów, należących dziś już do starszego nieco pokolenia, miał takiego ojca, stryja, dziada. Obok nich, jako wyjątki, zjawiali się wybrańcy z najciemniejszej i najuboższej masy proletaryjatu żydowskiego, których dążenie do zdobycia wiedzy, walka ze strasznemi przeszkodami, podnosiły i uszlachetniały.

Ci żydzi nie uważali się za obcych i nikt ich wówczas za takich nie uważał. Ale po równo-uprawnieniu, kiedy okazało się, że nauka daje najskuteczniejsze środki zdobycia karyjery, kiedy masa żydowstwa ucywilizowała się nieco pozornie—do szkół a następnie na stanowiska społeczne napłynęła cała masa zupełnie innych żydów. Do szkół oddawać zaczął dzieci każdy, kto miał pieniądze. Ze sfery, trzymającej się jeszcze uparcie odrębności żydowskiej, albo z takiej, która pozbyła się pewnych przesądów i „zabobonów", dla tego tylko, żeby nie krępować się w życiu niczem, z tej średniej klasy żydowstwa, która prawie naogół składa się u nas z wszelkiego rodzaju oszustów i lichwiarzy, z klasy najbardziej zdemoralizowanej charakterem swych zajęć — najliczniej rekrutować się zaczęli przedstawiciele inteligencyi żydowskiej.

Ludzie ci nie posiadali żadnych odziedziczonych nawyknień etycznych i społecznych i pomimo pozorów zewnętrznych pozostali żydami. Pamiętam, że za mych czasów przedstawiciele pierwszej kategoryi prawie że nie żyli z nimi i pogardliwie nazywali ich „żydami". Z biegiem czasu takich żydów zjawiało się coraz więcej i — wśród młodszego pokolenia inteligencyi bezwątpienia oni górują liczebnie. W masie tej nikną lepsi przedstawiciele inteligencyi żydowskiej, tembardziej, że sami się nieraz do niej przystosowują, z wyjątkiem tych nielicznych, co zostawszy żydami, zrobili się dziś antysemitami — juści nie wskutek przesądów rasowych i wyznaniowych, ale wskutek tej odrazy, jaką w nich budzi rozpanoszenie się najgorszych żywiołów żydowstwa, odrazy, będącej również przyczyną owego rozbratu, o jakim wyżej mowa.

Równo-uprawnienie żydów dokonane odrazu, nie połączone ze środkami ich uspołecznienia—wydało takie rezultaty. Lepiej było dokonywać go stopniowo, bo wtedy nie potrzeba by było wprowadzać tych ograniczeń, które dzisiaj w pewnej mierze tylko zapobiedz mogą złemu. Ograniczenie przyjmowania żydów do szkół nie usuwa zapewne napływu żywiołów nieuspołecznionych, bo dokonywać się musi przypadkowo i często, być może, oddala najlepszych, wybierając najgorszych, ale stało się koniecznem. Inaczej bowiem zamiast powolnej asymilacyi mielibyśmy raczej zżydzenie inteligencyi i to w najgorszem znaczeniu tego wyrazu. Jeżeli organizm mój nawet z pożytkiem dla siebie w określonym przeciągu czasu zasymilować może pół-funta mięsa, to spożycie odrazu 3—4 funtów wywoła w nim poważne zaburzenia, o ile nadmiaru w gwałtowny sposób z siebie nie wyrzuci. Cóż dopiero, jeżeli ten produkt, który zasymilować mamy, niezdrowy jest i zakażony i wcale nieprzystosowany do spożycia, tak że budzi w nas idyosynkrazyję?

1889 JAN LUDWIK POPŁAWSKI

Z BOLĄCZEK UNIWERSYTECKICH

Po upływie lat dziesięciu przywróconej niepodległości—we wszystkich dziedzinach życia polskiego zapanował wydatny ruch w kierunku podsumowania wysiłków w ciągu tego okresu poczynionych, oraz wyciągnięcia z otrzymanych wyników—wniosków i wskazówek co do pracy dalszej i jej horoskopów. Widzimy to też i w zakresie badań naukowych w Polsce, oraz szkolnictwa wyższego. Pomimo niejednokrotnie słyszanych w ciągu owych lat dziesięciu utyskiwań na swoistą „niewdzięczność" Polaków w stosunku do tej właśnie sfery życia narodowego, która przez długie lata niewoli była, podług znanego wyrażenia J. Śniadeckiego „jedynym naszym rodzajem chwały" — nie sądziłbym, aby słusznym tu był skrajny pesymizm. Przeciwnie—raczej powiedzieć by można, że i w tej dziedzinie uczyniono dość wiele, jak na ogół zadań olbrzymich, jakie stanęły przed odradzającem się państwem. To, oczywiście, o ile chodzi o rolę w tym względzie pomocy państwowej. „Reszta"—ta najważniejsza—przypadła i tutaj—wysiłkom ideowym jednostek. Przy ich to wybitnym udziale mogliśmy w czasie względnie krótkim i zorganizować trzy nowe uniwersytety, i rozwinąć pracę skuteczną na innych placówkach naukowych.

Bo ogólny bilans naszych w tej dziedzinie usiłowań jest raczej pocieszający. Nawet dość ubogo zaopatrzone laboratorja uniwersyteckie w ciągu minionego dziesięciolecia dały jednak naogół dorobek dość poważny, a niekiedy wprost bardzo poważny. Wyrazem tego jest wciąż zwiększający się przyrost publikacyj naukowych, zjawianie się nowych pism, poświęconych nieraz bardzo wyspecjalizowanym kierunkom badawczym, pism bynajmniej nie chorujących na brak materjału, a nawet wprost przeciwnie — zmuszonych często do ograniczania tekstu i tablic ze względu na brak środków. To są objawy nader pocieszające, bo świadczące o usilnem tempie pracy naukowej. Lepsze to, niż zastój, bo ostatecznie — niedomogi materjalne łatwiej się dadzą usunąć, niż beznadziejny brak nerwu badania naukowego! Pozatem o wydajności naszych badań na różnych polach świadczy też poważny udział naszych pracowników naukowych w międzynarodowych zjazdach, oraz dość pokaźna ilość Polaków, ogłaszanych w zagranicznych czasopismach specjalnych.

Naogół można więc powiedzieć, że minione dziesięciolecie nie zostało przez polskich uczonych zmarnowane. Pamiętać też tu i o tem należy, że na barki pokolenia starszego polskich pracowników naukowych—w tym właśnie okresie spadł obowiązek, zaszczytny lecz niełatwy — organizowania w warunkach często nader ciężkich — zupełnie nowych warsztatów pracy. Młodzi zaś nasi, świeżo zwerbowani, pracownicy—rekrutowali się przeważnie z ludzi, którzy śrubę mikroskopu ujmowali w rękę namuloną przez kolbę karabinu.

Te, jak sądzę, pocieszające antecedensy dotychczasowe, nie zupełnie wszakże uprawniają nas do również optymistycznych na przyszłość nadziei. Całokształt stosunków w naszej sferze naukowej nie zdaje się iść w tempie intensywności coraz to się wzmagającej, a nawet przewidywać by należało pewne groźne tempa tego osłabienie. Mam wrażenie, iż dochodzimy tutaj do pewnego punktu zwrotnego, o którego niebezpieczeństwie zgóry należy pomyśleć. Składa się na to wiele czynników. O paru z pomiędzy nich chciałbym tutaj pomówić.

A więc — nie najważniejszy, lecz czasem bardzo dokuczliwy—czynnik materjalny. Przed laty dziesięciu polskie placówki naukowe, a przedewszystkiem „zakłady" uniwersyteckie — otrzymały pewne t. zw. „dotacje" znaczniejsze, co pozwoliło ich kierownikom urządzić jako tako swe pracownie i rozpocząć w nich pracę na poziomie europejskim. Niestety, w latach następnych — „dotacje" roczne stawały się coraz szczuplejsze, aż wiele placówek zostało zmuszonych wprost do wegetacji. Obecnie—po latach dziesięciu—zaczynają się zużywać zapasy aparatury i t. p. zakupione wówczas, tak, że bardzo wiele przedmiotów dość drogich trzebaby koniecznie odnowić. Nie zanosi się wszakże na to, aby można było dziś marzyć o uzyskaniu niezbędnych na to środków. Równorzędną z tem klęską jest np. w Bibljotece Uniwersyteckiej warszawskiej, dotkliwy brak czasopism zagranicznych, których prenumeratę „zredukowano" w porównaniu ze stanem przedwojennym w sposób często wprost wszelką pracę uniemożliwiający.

To są braki znaczne, przecież nie zasadnicze. Ostatecznie—przyrządy naukowe, książki i czasopisma

można poprostu **kupić**. Miejmy nadzieję więc, że braki te pomyślnie usunąć się dadzą. Daleko groźniejsze jest niebezpieczeństwo zagrażające naszemu **materjałowi ludzkiemu**, z którego mają się rekrutować przyszli uczeni polscy.

Na materjał ten — wprost bezcenny — spadły w krótkich odstępach czasu aż dwie klęski, jedna gorsza od drugiej. Są to mianowicie: redukcje etatów asystenckich w szkołach wyższych, oraz wprowadzenie egzaminów magisterskich na wydziałach teoretycznych naszych uniwersytetów.

Redukcje etatów asystenckich były dla młodych pracowników naukowych zaczynających się wyrabiać w naszych z trudem zorganizowanych zakładach uniwersyteckich—istnym gromem z jasnego nieba. Całe szeregi młodzieży, w której pokładaliśmy najlepsze nadzieje, musiały porzucić rozpoczęte prace doktorskie i powiększyć nieszczęsną falangę „pedagogów“ dla chleba a bez powołania i przekonania szukając ratunku przed głodem—w „belferce“. A przecież tych etatów i tak już było za mało. Był to istny pogrom, z którego nie prędko podniosą się nasze pracownie, a dotknięci nim młodzi, ciężko pokrzywdzeni pracownicy—bodaj nigdy. Bo nie opuszcza się bezkarnie atmosfery badania naukowego, wszelkie zaś próby pracy wieczornej, „po-lekcyjnej“ — to tylko złudzenia smutne a krótkotrwałe, na które inaczej jak z bólem serdecznym patrzeć nie można.

Obecnie z trudem wielkim udaje się od czasu do czasu uzyskać z powrotem „skreślony“ etat, rzadkie to są wszakże szczęśliwe wypadki, częstsze są natomiast anomalje takie, jak np. pozostawianie ukończonego od lat kilku doktora filozofji, autora szeregu prac poważnych — na stanowisku... płatnego „z ryczałtu“ asystenta kontraktowego.

A przecież ci młodzi pracownicy — to nasi naturalni następcy, ów „narybek naukowy“, z którego mają się rekrutować przyszłe kadry profesury polskiej.

Ostatecznie jednak — są to ludzie, którym przynajmniej przypadła w udziale możność normalnego przeprowadzenia studjów uniwersyteckich i przejęcia się bez przeszkód metodami badania naukowego i jego atmosferą. W znacznie gorszem położeniu są ich młodsi koledzy, których na progu studjów spotkała istna jędza mózgożercza—słynne **Magisterjum**.

Dotychczas zrozumieć nie mogę, skąd się wzięło to nieszczęście na naszych wydziałach teoretycznych. Nie posądzi mnie chyba nikt o nadmierny afekt do niemieckiej *„Kultur“* — powiem wszakże otwarcie, że system niemiecki stopni akademickich uważam za najlepszy. Całość zresztą postępów nauki niemieckiej za tem przemawiać się zdaje. Z drugiej strony—pomimo całej mojej dla Francuzów sympatji, podsycanej od lat wielu przez miłe stosunki osobiste — uważam ich system licencjum i doktoratu za tak niedogodny, iż chyba tylko genjusz rasy gallijskiej może sobie z nim bez większej szkody poradzić. Ale poco myśmy w podobny zabrnęli labirynt? Słyszałem zdanie, iż „nie wszyscy studenci mogą sobie dać rady z doktoratem, a przecież po kilku latach spędzonych w uniwersytecie, należy się im jakiś papierek“. Pomijam już tu sprawę tego, co się komu może „należeć“, ile że kategorjami takiemi myśleć nie potrafię, pomijam też i gwałtowną potrzebę legitymowania się w życiu „papierkiem“—powiedziałbym tylko, że takiego „papierka“ rolę spełniało z powodzeniem przez lat wiele dawne *„absolutorium“*, uprawniające do składania egzaminów nauczycielskich, a więc zapewniające możność zarobkowania humaniście, matematykowi i przyrodnikowi. Najlepsze zaś siły, takie, dla których uniwersytet naprawdę jest przeznaczony — po paru latach studjów wstępnych przystępowały do pracy doktorskiej, jak właśnie być powinno. Co się natomiast dzieje obecnie? Uniwersytet zaczyna zatracać coraz bardziej charakter Wszechnicy, której jednem z najważniejszych zadań jest uprawianie badania naukowego i zaprawianie do niego sił młodych, natomiast przekształca się w coś w rodzaju szkoły zawodowej. Pomijam już dość nieszczęsną rolę profesorów, wytrąconych przez tę inowację z normalnego trybu ich pracy, ale na co schodzą studenci?

Przedewszystkiem -- przestają być naprawdę studentami w dobrem, normalnem tego słowa znaczeniu, a od pierwszego semestru „studjów“(?) już myślą o egzaminach... Zaiste: *„Obiit studiosus natus est magistrandus“*. Z wykładów, na których przecież często (dotychczas) słyszy się rzeczy „niepotrzebne do egzaminu“ — korzysta taka postać nieszczęsna mało, ćwiczenia „odrabia“ tylko „obowiązujące“, do pracowni badawczej się nie zapisze, bo na to nawet i czasu nie ma, gorączką egzaminową przejęty. O studjach naprawdę w stylu uniwersyteckim niema mowy, o wgłębieniu się w jakiś kompleks zagadnień, i wogóle o pogłębianiu magistranckiego intellektu — również. Na studjowanie dzieł źródłowych też czasu nie ma, a nawet na czytanie obszerniejszych podręczników. Jako córa prawowita nieszczęsnego magisterjum—rodzi się druga klęska: t. zw. „skrypty“, okropność, którą by się powinno na dziedzińcach uniwersyteckich palić masowo aż do cna — i to rękami pachołków katowskich w czerwień przybranych.

Słyszałem na ten temat doskonały dowcip jednego z profesorów: *„nihil est in intellectu, quod non fuerat in... scriptis“*. Na to nam przychodzi na starość!

W *„pendant“* do tego wszystkiego — student... pardon, magistrant, ma wykonać „dysertację“, na którą mu się przeznacza czas aż do dwu trymestrów. Tutaj zaczyna się już tragedja profesorskiego sumienia naukowego. Bo i jakżesz, po wielu często latach zaprawiania młodzieży do systematycznej, nieraz na lata rozkładającej się pracy — tak znagła wynaleźć temat do takiego *„pensum“*, co to i naukowe ma być i w parę miesięcy usmażone. Co ma tu począć przyrodnik, który conajmniej przez rok jeden okrągły uczyć musi początkującego pracownika wstępnych elementów metody badania w swoim zakresie? Pozostaje jedno: dawać tematy „z literatury“, czyli uczyć, jak się pisać powinno... bezwartościowe kompilacje. Dodajmy, że nieszczęsny magistrant, wychowaniec gimnazjów dzisiejszych, bywa mocno... nie mocny w językach obcych, już nie mówiąc o kopciuszku-łacinie.

Ciekawa tu jest również opinja samej młodzieży. Najwybitniejsi starsi studenci, którym, podług ustawy o magisterjach, przysługuje jeszcze prawo starania się o doktorat, wyrażają się o swoich nieco młodszych, skazanych na magisterjum kolegach, jako wprost o ofiarach nieszczęsnych, zmuszonych do „zatracenia paru najlepszych lat życia“ i do zabrania się potem dopiero do „prawdziwie porządnej roboty“.

Pod pewnym jeszcze względem godny jest uwagi szczególny zbieg okoliczności niepomyślnych, prześladujących najlepszych wychowańców naszych, a to zejścia się redukcji asystentur i „nastania“ magisterjów. Oto — właśnie w latach ostatnich zauważyć się daje szczególny „przybór“ obiecujących sił młodych. Od lat trzydziestu kilku przebywając bez przerwy w środowisku akademickiem—miałem sposobność stwierdzić—a moi Koledzy również potwierdzają tę obserwację — że zjawianie się młodych, prawdziwie zdolnych pra-

cowników odbywa się poniekąd jakby falami: po okresie pewnego zastoju — następuje masowe występowanie naraz znaczniejszej gromadki młodzieży wybitnie zdolnej, pracowitej, słowem takiej, po której spodziewać się mamy prawo, że nie przeminą bez śladu. Później bywa najczęściej znowu jakby pewna przerwa. Pokolenie najnowsze, t. j. to, którego przedstawiciele zdają w czasach ostatnich doktoraty—przedstawia się naogół jako wybitnie uzdolnione. Otóż chodziłoby o roztoczenie nad nimi szczególnie troskliwej opieki, w postaci przywrócenia „zredukowanych" asystentur, zwiększenia liczby stypendjów na badania i t. p. Pamiętać bowiem winniśmy, że nieszczęsne magisterja, choćby tylko lat parę potrwać miały — muszą złożyć pewną ilość ofiar na ołtarzu niefortunnej „reformy"... Ratujmy więc przedewszystkiem ten materjał ludzki, jakim obecnie rozporządzamy, materjał niewątpliwie bardzo wartościowy, którego „dalszego ciągu", być może, nieprędko się teraz doczekamy...

Oczywiście — strona materjalna tej sprawy zależy od ministerjum oświaty. Spodziewać się należy, że tam, gdzie wydają się tak znaczne sumy na oświatę elementarną — na zapewnienienie możności pracy naukowej młodym uczonym polskim środki znaleźć się mogą i powinny. Nie są to znów fundusze tak znaczne. Zwrócić też i na to należy uwagę, że zespół obecny profesury polskiej składa się przeważnie z ludzi już niemłodych i że znaczny się uczynił przedział wieku pomiędzy nimi, a dorastającem dziś naukowo pokoleniem młodszem. O ile nie chcemy mięć niepowetowanej przerwy w ciągłości wysiłków naukowych w Polsce — przerwy nad wyraz groźnej — musimy bezzwłocznie przystąpić do wydatniejszej, niż dotychczas, opieki nad temi siłami młodemi. Pozatem — mając na względzie i dalsze pokolenia pracowników naukowych, powinniśmy co najrychlej pomyśleć o „nowelizacji" nad wyraz nieudanej ustawy o magisterjach.

JAN TUR

POWODZENIE SZUKALSKIEGO

NIERAZ zastanawiałem się nad tem, ktoby najlepiej mógł ilustrować „Króla Ducha". Dopiero bowiem dzięki odpowiednim ilustracjom, poemat ten gigantyczny, ale nierówny i do odczytania zupełnego możliwy tylko dla specjalistów, wejść mógłby w zasób kultury artystycznej ogółu, wzbogacając jego wyobraźnię, dając mu jakieś tchnienie myśli o nadświecie. Ale twórca ilustracyj tych musiaby być kongenjalnym, t. j. musiały być wytwórcą tej samej miary, co Słowacki, o równie potężnem napięciu wizji. Słowacki w „Genezie" i „Królu" brnie w praczasy, w doby niesamowite, nie uporządkowane jeszcze, gęste od demonizmu, żarne od ścierających się żywiołów — ale w doby tęgie, mocne całą mocą czasów bliższych początku. jakby bliższych stwórczego tchnienia prasiły...

I kiedy odchodziłem z krakowskiej wystawy zbiorowej rzeźb i rysunków Stan. Szukalskiego (w pałacu Sztuki, obecnie w Muzeum Narodowem), to wiedziałem już, że tu właśnie pojawił się artysta, którył wizje Słowackiego zilustrować zdołał kongenjalnie, twórca łączący szczęśliwie śmiałość, odrębność i groźność wizji z najwyższą godnością techniczną wyrazu. W sztuce Szukalskiego czuje się jakby dech pierwotnego świata, co płodził bez miary twory olbrzymie a dziwaczne, przerażające. Ma się wrażenie, jakby w artyście tym — podobnie jak to Słowacki czuł w sobie — obudziła się pamięć rasy — rasy „człowiek" — i wyjawiała się dusza ludzi pierwotnych, potężnych fizycznym rozmachem, ale oszołomionych ogromem zjawisk, na które po raz pierwszy dusza ludzkości-dziecka otwarła się... W dziele Szukalskiego zespala się ten żywiołowy rozmach siły fizycznej — którą na pamięć przywodzi jakichś Michałów-aniołów — z tem jakiemś jakby dziecięcem niezmordowanem pasowaniem się umysłowem z zagadkami świata.

Zdaje mi się, że Szukalskiego wyobraźnię da się scharakteryzować podobnie, w pewnej przynajmniej, ale bądź co bądź znacznej mierze — jak wyobraźnię twórcy „Króla Ducha". Intuicyjnie już czujemy, że nie kto inny, tylko on potrafiłby dać pełnię plastyki tym twarzom jak grynszpan zielonym, pod czarnemi ołowianemi hełmami, tym pochodom wojsk, co skrzydła olbrzymich przedwiecznych orłów wzięły na hełmy, tym powiekom straszliwym, co były „jakby nożem rozcięte, a przez czerwoną rubinową korę patrzy duch widmo przeszłości zaklęte"... To są obrazy u Słowackiego niebywale wyraziste w swym syntetycznym skrócie; ale są i inne zbyt abstrakcyjne, a przytem tak zwikłane, że dopiero z trudem je w wyobraźni odcyfrowywać trzeba, np. jak wygląda taka wizja „duch w kształty się piramidalne wyrzucił, dawną tryskając naturą, nowe ciała łańcuchy fatalne targał i piorun zawsze miał pod chmurą" — ?... Ale przekonany jestem że i w takich wypadkach Szukalski dałby sobie radę i zobaczyłby ten obraz; albowiem i on ma tę samą co Słowacki — niewyczerpaną produktywność wyobraźni, którą żadnemu epizodowi, żadnemu wrażeniu nie daruje, ażeby go nie przetworzyć; tę samą jej ruchliwość, która wytwarza najbardziej niespodziewane kombinacje, tęż samą wyrazistość elementów i obrazów prostych złożonych z niewielkiej liczby elementów, taki sam wreszcie patos, który każdemu wyrazowi nadaje *maximum* napięcia; ale zarazem i to samo tu, co u Słowackiego, pewne wyuzdanie w owej pasji przetworzenia świata, ten sam chaotyczny nadmiar, zwikłanie w obrazach bardziej złożonych oraz taż sama— (co jest przy ruchliwości wyobraźni zrozumiałem, ale dochodzić może aż do stanu patotogicznego) — skłonność do abstrakcji, t. j. do takich wyrazów, które tylko drogą bardzo pośrednich, bardzo okólnych skojarzeń doprowadzone być mogą do zrównania z myślą zamierzoną (u Szukalskiego wyrażone w tytule dzieła).

W sztuce Szukalskiego aż upalnie od młodzieńczej gorączki myśli — myśli w obojem znaczeniu, a to zarówno artystycznem, (jako wizja i jako zagadnienie formalne) — jak i pozaartystycznem, moralnem, metafizycznem, wogóle ideowem. Z myślami temi radzi on sobie tworząc obficie czy to symbole, ogromnie proste, w których pomysł artystyczny i pomysł ideowy dane są w jednym syntetycznym rzucie, (jak np. „człowiek i jego brat": wychylił raz człowiek głowę ze swej kryjówki, a tu odrazu jakaś pięść palce mu wbija w oczy) — czy też budując alegorje (symbol wyraża ideę ale i bez niej znaczy, ma swe własne niezależne życie, alegorja natomiast czerpie swe życie całkowicie z idei, bez niej nie znaczy nic, lub bardzo mało (symbol ma sens i bez cytaty, alegorja — nie); alegorje te bywają u naszego artysty nieraz trochę naiwne, częstokroć zbytnio skomplikowane i nazbyt

abstrakcyjne. Ale jest coś wysoce wzruszającego nawet w takiem alegoryzowaniu niezawsze zdarnem w tem, że tak powiem „naideowaniu“ tej sztuki nieraz jakby jakoś gorączkowo, przesadnie, po młodzieńczemu żarliwem; chętnie jednak to przebaczamy, jak i to nawet, że w związku z ową pasją najdokładniejszego wypowiadania myśli i d e o w e j, cierpi czasem myśl a r t y s t y c z n a dzieła, która zatraca wyrazistość kształtu, przeładowana zostaje szczegółami, z których każdy ma znaczenie intelektualne, ale nie koniecznie estetyczne — żeby tylko przypomnieć projekt na pomnik Bolesława Śmiałego! Ale przecież przebaczamy to, porwani i uderzeni obfitością myśli, które poszukują chciwie wyrazu, bogactwem osobistości, która ma tyle do powiedzenia. Z pewnością, nie mamy tu do czynienia ze sztuką klasyczną, zrównoważoną, z wyrazem skonstruowanym ekonomicznie i z umiarem. Jednak słabości tej sztuki — to słabości siły, nadmiaru, niezaradności olbrzyma.

Niewątpliwie, rozwój świadomości artystycznej Szukalskiego pójść winien w kierunku uproszczenia, syntetyzacji wyrazu, i w kierunku pomniejszenia alegoryzacji, co ułatwi mu realizację jego pomysłów pomnikowych: nie jestem np. pewien, czy dałby się zrealizować taki pomnik Mussoliniego, jako wilczycy z głową *„Duce“*?... Niemniej jednak, już i dziś w tym pożądanym kierunku zadatki są obfite i potężne. Weźmy np. taki „Powrót“. W pierwszej chwili niedostrzegamy nic prócz formistycznych zygzaków; ale niebawem wyłonią się kształty kobiety i mężczyzny w ruchu szalonym, ruchu co wyraża szał uciechy, całą radosną niespodziewaność spotkania i oto właśnie doskonale zrobiony symbol i doskonałe dzieło sztuki uderzające prostotą, a zarazem i kunsztem pomysłu który ze zwikłanych, napozór bezsensownych linji, wyłania proste i wyraziste wrażenie ruchu, a zasię ruch ten jak tak sugestywny i łącząc te dwie postaci, mężczyzny i kobiety, tak w y n u r z a j ą c y, iż daje patrzącemu niezamienioną w sumie dorównanej samą istotę pomnika...

Wzruszenie... Tak sztuka Szukalskiego jest nienietylko mierzeniem się — z zagadnieniami czystego kształtu, mierzeniem się, jeśli nie zawsze, to często, zwłaszcza w projektach architektonicznych, wspaniale zwycięskiem, — lecz jest też przepojona liryzmem; weźmyż taką np. „Niedolę“: twarz, tak straszliwie biedna a wycezylowana. Jąkiemś wprost drapieżnie litościwem, i wprost fizjologicznem wczuciem się w nędzę, ruinę ciała i duszy — twarz ta odrazu przywiodła mi na pamięć „Judasza“ Kasprowicza, ową głębinę niedoli i szczyty współczucia. To mi nasuwa kwestję „rasowości“ polskiej — sztuki Szukalskiego, której mu odmawiają niektórzy, asumpt biorąc z tego, że on formalnie zapożycza się często ze stylów najbardziej egzotycznych. Kwestja „rasowości“ formy jest niewątpliwie zbyt trudną, by módz o niej tak na poczekaniu rozstrzygać, jak nieproszeni purytanie patrjotyzmu, tak dbali o czystość rasową polskiej sztuki... Zdaje mi się jednak, że skoro idzie o „treściową“ stronę tej sztuki, właśnie w rodzaju owego liryzmu, znajduje się coś przypominającego liryzm Kasprowicza, a więc chyba coś już ponad wszelką wątpliwość rasowo-polskiego — (wielkie i rasowo czyste osobistości swym rodzajem psychicznym ustalają konwencjonalną normę „rasowości“: Miłosierdzie zespolone z metafizyczną zgrozą. Oto obrazek, którego tytuł, nieco naiwny może, ale właśnie w naiwności tej, tak wymowny: „Jeśli dobry Bóg stworzył królika, to kto stworzył żmiję?“.

Jeśli jednak za znamienne dla najwyższych wyjawów polskości uznamy patos pogody słonecznej—do jakiego np. wzniósł się Słowacki w strofach o Piaście— to dopiero przyszłość okaże, czy sztuka Szukalskiego dojrzewać będzie w tym kierunku. Dziś znamionuje ją twardy, szorstki pesymizm. Ciekawem byłoby porównanie dwuch „macierzyństw“ w przyległych salach „Pałacu sztuki“: „Macierzyństwa“ Popławskiego (na wystawie „Jednoroga“, rzeźba) i „Matki“ Szukalskiego (rysunek): — Tam kształty kobiece w klasycznem uproszczeniu, ale bynajmniej nie schematyczne, abstrakcyjne, owszem żywe, toczone, gładkie, łagodne, podane w słodkim uścisku obejmującym dziecko; sztuka w całej pełni nadobna aspekt optymistyczny, idyliczny, tu potężne, ale umęczone kształty jakiejś gigantki w brutalnym geście połogu; a dziecko, mały potworek który dopiero co wyszedł z łona macierzy, pełznie już chciwie po jej brzuchu, ku piersi napęczniałej już pokarmem: aspekt macierzyństwa tragiczny; tam macierzyństwo urodą, błogością, dosytem — tu porodową męką, tu bezsilnością siły, tu symbolem posępnym rodzicielstwa, tak ofiarnego, a tak samolubnie traktowanego przez życie młode...

Prócz symbolów, są też i jak się już rzekło — i alegorje; taka np. pomysłowa m i t o l o g i c z n a: „Bóg Demon“, jakiś nadchmurny olbrzym, tłukący w jakieś wiadra dziwne, z których gęstemi kroplami leje się: grzmot i deszcz. Jest i psychologja: Typy charakterów i rasowe (żydowskie) podane w obliczach niesłychanie wymownych. Portret nietylko nabrzmiały jest wyrazem (taki np. Amerykanin streszcza w sobie wszystko co myślimy o rozmachu, stanowczości i bezwzględności „amerykanizmu“), lecz też uderza mimo stylizacji podobieństwem—co chyba ze względu na społeczną rolę portretu nie jest tak obojętnem...).

Ten Szukalskiego psychologizm, mitologizm, symbolizm, ideizm, ten liryzm, to wszystko są nowalje, które mocno zaniepokoiły spokojnych dostawców „martwych natur“, „krajobrazów jesiennych“, „aktów“ niezliczonych: Jakto, więc może przyjść chwila, kiedy publiczność ośmieli się, nietylko się delektować fioletowymi refleksami na pośladku, od fioletowej kanapy, lecz i dopytywać się o dzieła, któreby do niej mówiły o czemś „pozaartystycznem“, mówiły jakiemiś problematami ideowymi?... Jakto, więc może do utrzymania się na rynku, trzeba będzie koniecznie być inteligentnym?... Inde irae... Ale przyznajmy że jest i coś słusznego w niepokoju z powodu „literackości“ sztuki Szukalskiego: „Literackość“, czyli raczej „ideowość“ sztuki też nie może być normą obwiązującą, boby prowadziła do sztucznych wysileń ze strony wielu i faktycznie zrodziłaby pomieszanie kryterjów oceny. Idzie jednak o p r a w o dla sztuki ideowej, a prawo to, dla siebie przynajmniej dzieło Szukalskiego zdobyło sobie przebojem: Tu nietylko wizjoner niesamowity i poeta prawdziwy (— czyż np. ten Mickiewicz w projekcie wileńskiego pomnika, w całej zresztą pełni nadającego się do realizacji, krwią swego serca karmiący Orła — Polskę — to nie poezja najprawdziwsza?...) wkroczył w szranki, lecz i majster pierwszej klasy, imponujący pewnością, siłą, dokładnością spojrzenia i ręki, zestawieniami barwnemi w prostocie swojej i żywości wprost fascynującemi, zdolnością z jednej strony do monumentalnych uproszczeń jak i z drugiej strony subtelną precyzją, czystością wykwintną w małych rysunkach, godnych zaiste ręki starych wytrawnych mistrzów, lub japończyków. Dlatego też, zasypać publiczność piaskiem zarzutów, że w dziele Szukalskiego poszukuje wrażeń „pozaestetycznych“, „rozwiązywania łamigłówek“, „anegdoty“ i t. p. — nie tak łatwo będzie!... Pozycja od strony formalnej szczęściem nie do wzięcia.

Wystawa Szukalskiego — pominąwszy nawet moment zewnętrzny głośnej polemiki przezeń wszczętej z niektórymi krakowskimi profesorami — stała się dla Krakowa — dla tego tak przecież flegmatycznego Krakowa! — zdarzeniem wprost sensacyjnem. Zwiedzają ją tłumy, do obowiązku należy o niej mówić, każdy coś z niej zapamiętał, ponoś już przynajmniej tuzin wieszczów natchnęła. Ludzie pamiętający nastroje krakowskie po „Weselu“, porównują wrażenie ówczesne z dzisiejszem. Objaw to znamienny! Tak, jak wówczas, czuje się, że się coś kończy i coś zaczyna.

Przełomy radosne tem są znamienne, że przynoszą wykwit wartości dotychczasowych. ale zarazem i coś, czego dotychczas niedostawało... „Wesele“, wykwit sztuki „modernistycznej“, sztuki nastrojowej, zmuzykalizowanej, mówiło poraz pierwszy od wielu lat, o pewnej zbiorowej wielkiej „rzeczy“ — poraz pierwszy od wielu lat o Polsce, mową tak świeżą, mową piękna tak wówczas porywającego. Cos podobnego dzieje się w danym wypadku: Szukalski występuje z formami bardzo współczesnemi — (architektonikę zwłaszcza przypominam!), — ale daje pełną ręką coś, czego — (tylko naogół, nie zawsze!), sztuce współczesnej nie dostawało. Tutaj, pozwolę sobie pochwalić się przepowiednią, którą na początku tego roku, na łamach nin., w art. pt. „Konjunktura patosu“, wypowiedziałem. Twierdziłem mianowicie, że jest obecnie konjunktura powodzenia dla patosu w sztuce, że z oddźwiękiem głośnym spotkać się musi sztuka wizyjna oraz psychologiczna w treści, monumentalna w formie — która zaspokoi głodującą już uczuciowość naszą, zwłaszcza metafizyczną. Szukalski te dwa warunki spełnia — i oto jakiem echem radosnego podziwu zagrała mu dusza ogółu. W dziele jego ludzie znaleźli treść (ideową) i patos treści, odetchnęli głęboko, spotkawszy się z zupełnym człowiekiem, który wołał potężnem szarpnięciem poszukuję— (śmiało, bez żenady!...) — serca.

Powodzenie Szukalskiego jest objawem przełomowym. Świadczy o niezamarzłej uczuciowości naszej inteligencji; czynnikiem jego jest nietylko potęga formalna talentu, lecz również i przedewszystkiem, to, iż on w dziele swem wyrażając wysokie napięcie życia moralnego, dzielnie przytaknął temu zdrowemu instynktowi ideowemu ogółu, który w sztuce pragnie o wiele więcej mieć, niźli dobre rzemiosło: Mieć w niej porozumiewanie się wzajemne ludzi, najbardziej na serjo, w tych sprawach, których bez wysokiego nakładu piękna, nie wyrazić! Coś się zaczyna...

I coś się kończy... Razem z powodzeniem masowem takiej sztuki jak Szukalskiego przełamuje się sugestja, że sztuce nie wolno być ideową. Tembardziej załamuje się u młodych sugestja sztuki „czystego kształtu“. Już chyba nie tak łatwo np. p. T. Peiper znajdzie takich, co ze „stalowemi uszami“ słuchać zechcą tego, co on z takiem namaszczeniem mówi „o fotoformji“... Ale: czy też wiecie państwo, co to jest „fotoformja“? Kto jeszcze nie wie, niech zajrzy do jednego z zeszytów bł. p. krakowskiej „Zwrotnicy“: Ustawia się spodki, talerze, szklanki i t. p. w piramidy, i fotografuje się to. Niestety, — p. T. Peiper poważnie ubolewa — ta nowa sztuka jakoś nie bardzo w Polsce się przyjęła, ale mniejsza o to. O cóż tu idzie? Nie o śmieszne gusta pewnej jednostki, zawsze idzie o to, o czem atmosfera środowiska pozwala mówić na serjo. I któż, wobec każdej zresztą patetycznej, całym zupełnym człowiekiem szarpiącej sztuki, zechce jeszcze na serjo brać takie jak owo właśnie, zdziecinniałe zakłamania, takie dowody kompletnej i instynktownej sterylizacji sztuki, ideowego rozmiałczenia sztuki, intelektualistycznego wycieńczenia sztuki — tej mianowicie sztuki, która jest tylko artykułem komfortu życiowego dla beznarodowej burżuazji — tego środowiska bytującego tak nawskroś bezpatetycznie w próżni pomiędzy wielkiemi zbiornikami energji wielkich zbiorowości?!... Tak, panowie, czasy kiedy można było bezpiecznie ogłupiać, wyinaczać wszelaką fotoformją, kończą się!... Szukalscy idą.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

ŚWIT I PORANEK

I

Świta. Noc robi się przeźrocza.
Widno. I rzeźwo. I wonno. I cicho.
Tak cicho, że łzy stawają na oczach...
Bo zda się: świat wziął pożegnanie z pychą,
żądzę wyplenił, z cierpieniem się rozstał
bez szczątków —
i oto słońce ponad nowym rajem
wzejdzie, z promieni złotym urodzajem
zawita radość ogromna i prosta,
jak na początku...

. . . .

Ty wiesz, że to się nigdy stać nie może.
Ty, co Cię żaden świt nie budzi ze snu.
Iześ nim globu dżdże i mroki przesnuł,
bądź wielbion za ten cud złudy codziennej,
Ty wciąż źrenicą obecny w przestworze,
wiecznie bezsenny!

II

Zapatrzyły się w dziecinę
kwiatki białe, kwiatki lila:
jeden i drugi w upojeniu słodkiem
oczy niewinne
rozchyla.

Rozmarzyły niebo ciche
bławaty oczu stworzonka;
rozpromieniła się od jasnych włosiąt
złotym przepychem
tarcz słonka.

Wietrzyk z wonią zaręczyny
wziął przed buzią niemowlęcą;
umiłowawszy ją oboje, społem
wokół głowiny
się kręcą...

Poznań

STANISŁAW BĄKOWSKI

LIBERUM VETO

Wspomnienia o łapówkach rosyjskich. Nasz i ich plon z tego i własnego siewu. Moralność jako zasadniczy warunek życia społeczeństw.

KIEDYŚ powtarzano takie (podobno angielskie) określenie ustroju państwowego Rosji: „Jest to despotyzm samowładzy ograniczonej łapówką". „*Pro patria*" utrzymuje, że „przeniesiona na nasz grunt przez zarażone tym moralnym trądem jednostki łapówka polska wyrosła i bujnie rozwinęła się dzięki wadom Polaków i dzięki licznym metysom polsko-żydowskim i polsko-ormiańskim, których znaczną liczbę urzędy polskie przyjęły i posiadają. Łapownictwo stało się u nas chorobą głęboko utajoną, przenikającą prawie wszystkie urzędy i zagrażającą już nawet poważnie finansowym podstawom państwa". Wywód ten nie jest ścisły. Rzeczywiście łapownictwo w Rosji rozrosło się do potwornych rozmiarów i przybrało nieskończoną ilość form i masek osłaniających niewinnością jego twarz prawdziwą. F. Boguski, głośny niegdyś publicysta, opowiadał mi, że gdy chciał odebrać w ciągu roku ze szkoły odeskiej syna, mającego złe stopnie, dyrektor zaproponował mu zakład, twierdząc, że chłopiec otrzyma promocję. Rzeczywiście otrzymał, a dyrektor wygrał kilkaset rubli. Ktoś inny przytaczał mi ze swych wielu doświadczeń wypadek, że mając sprawę w senacie petersburskim, odwiedził jednego z wpływowych członków tej instytucji, którego nie zastał w domu, ale był przyjęty przez jego żonę. Elegancka dama zaczęła z nim rozmawiać o literaturze francuskiej, przyczem przesuwała gałki na liczydle (szczotach), które na stole w wytwornym salonie dziwiły gościa. Ale wreszcie zauważył, że pani nastawiła gałki na pewną sumę. Domyśliwszy się celu, przesunął je na niższą, ona znowu swoje zmniejszyła, on podwyższył i tak niema licytacja *in plus* i *minus* odbywała się z pół godziny, aż wkońcu ustalono zgodnie pewną sumę, którą gość, rozmawiając ciągle o literaturze francuskiej, pani senatorowej wręczył i wyszedł. Sprawę miał rozstrzygniętą pomyślnie.

Przed wielu laty siedząc w wagonie w przejeździe przez Niemcy, byłem świadkiem sporu, prowadzonego po francusku między dwoma mężczyznami, z których jeden mocno atakował Rosję, a drugi jej bronił. Wreszcie ten rzekł: „Według mnie łapownictwo rosyjskie jest dowodem wysokiej kultury obyczajowej. Jeżeli ktoś spróbuje dać łapówkę szwajcarowi lub niemcowi, ten wyrzuci go za drzwi lub oskarży, a rosjanin, jeżeli jej nie przyjmie, zachowa się tak, jak gdyby go poczęstowano cygarem: Dziękuję panu, nie palę". Gdy na jakiejś stacji oskarżyciel Rosji wysiadł, jej dziwny obrońca, który zauważył, że czyczytam gazetę polską, wybuchnął śmiechem, zwróciwszy się do mnie: „Widziałeś pan tego moskala liberała zagranicą? To jest prokurator lubelski i znany łapownik. Nie podobała mu się moja apologja!" W dalszej rozmowie dowiedziałem się, że figlarzem był ziemianin — jeśli dobrze pamiętam — nazwiskiem Sufczyński.

Rzeczywiście łapownictwo było chorobą Rosji, chociaż niekiedy jedynym i skutecznym ratunkiem jej ofiar. Jakkolwiek ona nią nas zaraziła, mamy niestety w tej zarazie i nasz własny udział. Dość przeczytać pamiętniki z XVII i XVIII w., ażeby się przekonać, że przekupstwo było również wrzodem Polski, zwłaszcza w trybunałach i że stanowiło bardzo czynną sprężynę w rozbiorach. Ten wrzód rozszerzył się niezmiernie w naszem państwie po odzyskaniu niepodległości pod postacią grabieży i pozostaje otwartym dotąd. Nie jest to jednak choroba rasy, lecz objaw niskiej kultury. Dowodem narody oświecone, które nie mają naszych pospolitych przestępstw, a przynajmniej bardzo rzadko. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na ludność jednego z miast szwajcarskich sprawiła wieść, że komuś skradziono z domu zegarek. Co u nas jest wypadkiem tak zwyczajnym, jak ukłucie komara, o czem często nie opowiadamy nawet bliskim znajomym, o czem pisma reporterskie wzmiankują tylko wyjątkowo, to stało się powodem zdumienia i zgrozy poczciwych szwajcarów, którzy całą masą rzucili się na poszukiwanie złodzieja i szybko go odnaleźli. Wiadomość o dokonanem przestępstwie u nas uruchomia jedynie policję i to w pośpiechu bardzo wstrzemięźliwym; tam uruchomia całe społeczeństwo do pościgu natychmiastowego i bardzo energicznego. U nas policją jest pewna ilość umundurowanych jednostek, tam policją są wszyscy. Polak z najwybitniejszą fantazją nie wyobraża sobie możliwości życia bez zamków i stróżów, ale każdy wyobraża sobie, jakiej używałby rozkoszy gdyby ich nie potrzebował. Taki raj posiadają narody o wysokiej kulturze moralnej, podczas gdy my patrzymy z uśmiechem na obrazek w piśmie humorystycznem, przedstawiający zamknięty krąg ludzi, którzy gonią się i chwytają w kołowym biegu z okrzykiem: łapaj złodzieja! a wszyscy są złodziejami.— Historja socjologji i fizjologji praktycznej zgromadziła wielki zapas pomysłów uszczęśliwienia ludzkości. Gdy się zbierze ich jeszcze więcej, gdy wyczerpane zostaną wszelkie projekty zorganizowania, ułatwienia i uprzyjemnienia życia ludzi stowarzyszonych, gdy prawa otrzymają najwyższą doskonałość a technika zbogaci się cudami wynalazków i urządzeń, wszystko to nie zapewni szczęścia ani jednostkom, ani społeczeństwom, jeżeli podstawą ich działań i stosunków nie będzie moralność. Bo reguły: nie kradnij, nie zabijaj, nie mów fałszywego świadectwa i t. p. to nie są przykazania katechizmowe, to są konieczności życia zbiorowego, bez których ono się rozstraja, rozpada, gnije, traci swój cel główny — słuszność ogółu. Bez nich to szczęście jest niemożliwe, chociażby zaopatrzyło się w najrozmaitsze i najliczniejsze dogodności i ułatwienia. Dziś mądrzy i głupcy męczą się nad rozwiązaniem zagadek formy współżycia, ważą korzyści i szkody republiki, monarchji, dyktatury, ludowładztwa, cieszą się z postępów techniki, z odkrywania nowych źródeł bogactwa, wszystko są to nabytki cenne, ale niezdolne do zapewnienia ludziom pomyślności, dopóki nie doda swej siły moralność. Każda forma ustroju państwowego może być dobra, jeżeli w niej żyć będą ludzie uczciwi. Czystych charakterów nie zastąpią najwyższe rozumy, cnota w najobszerniejszem znaczeniu, rzymska *virtus*, musi być głównym pierwiastkiem kultury narodu. W prasie sanacyjnej czytamy ciągle bezczelne lub głupie przechwałki o dokonanem przez nią uzdrowieniu i uradowaniu społeczeństwa. Nie potrzeba szczegółowo badać wartości i skutków jej lecznictwa, dość ogarnąć wzrokiem cały obszar rozpostartej lub wywołanej przez nią niemoralności, ażeby ujrzeć wielkie trzęsawisko, na którem ani teraźniejszość, ani przyszłość nie oprze żadnej trwałej budowy. Nie o to bowiem chodzi, jaką barwą partyjną będzie pomalowany, jaką będzie miał władzę, nawet nie o to tylko, czy on jest zdolny czy niezdolny do wykonywania pewnych czynności, ale przedewszystkiem o to, czy jest uczciwy i czy sumiennie pilnować będzie uczciwości cudzej. Najgenjalniejszy łotr może być tylko szkodnikiem. Stanąwszy

na szczytach „wyższej“ polityki, jej astronomowie zwykli wpatrywać się tylko w konstelacje wzniesione po nad padołem, na którym między śmieciami leży wzgardzona przez nich moralność; dopiero gdy społeczeństwo zaczyna chorować i zamierać, gdy się pogrąży w niedolę, wtedy podnesi się splugawioną ścierkę i z wypranej robi się chorągiew. Czasem ten ratunek odbywa się zapóźno, ten sztandar już nie budzi zapału w zakażonych duszach, które straciły wrażliwość na dobro. Może nigdy Polska nie była tak chorą moralnie, jak obecnie. Jest to objaw daleko groźniejszy, niż dzikie pokrzyki teutonów. Pamiętajmy, że te winy już raz ściągnęły na nas karę stu pięćdziesięciu lat więzienia w niewoli.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

HANDEL ŻYWYM TOWAREM NARODÓW

LIBERALI, którzy w sobie zabili sposób myślenia kategorjami psychiki narodowej, zdani są na bezbrzeżne flukty myślenia kategorjami ogólnemi. Najogólniejszą zaś kategorją jest oczywiście zoologiczna — interesu materjalnego. Narzuca się ona bez wysiłku (na który demokrację nie stać) zarówno jednostkom, jak i grupom. Więc dobrobyt, jako cel życia ludzkości!

Z tego stanowiska położenie dzisiejsze narodów w Europie staje się ciężkie wobec przewag finansowych Ameryki. Zaczyna się od aktualnej sprawy długów na rzecz Ameryki. Rodzi się myśl obciążenia niemi całej Europy, a więc zrobić w tym celu spółkę: „Paneuropę“. Liberałom-nacjonalistom, a więc pacyfistom z zasady, bo wojna się nie „kalkuluje“, idea ta uśmiecha się kokieteryjnie.

Na to, żeby myśleć w duchu powszechnego rozbrojenia, trzeba wprzód samemu rozbroić się ze wszelkich środków myślenia o życiu prawdziwem, gdzie przecież nie pieniądz rządzi, jeno duch. Dopiero w tem świetle staje się zrozumiałą możliwość refleksji, którą spotykamy w jednem z ważniejszych pism liberalnych:

„Myśl Paneuropy znajduje się pod sugestją znanej prawdy, wielkie organizmy gospodarcze są rentowniejsze, niż małe. Stany Zjednoczone są wymownym przykładem. W Stanach Zjednoczonych Europy byłoby niedopomyślenia tworzenie w Italji przemysłu żelaznego. Brak tam wszystkich potrzebnych surowców. Ileż w tem tkwi zbytecznech kosztów transportu, ile straconych możliwości europejskiej zbiorowej konkurencji na rynkach światowych.“

Otóż ta „suggestja“ gospodarującego w Europie wielkiego kapitału, zarówno dla burżuazji, jak i dla socjalistów jest siłą dostateczną, aby ich porwać do poziomej i bezsensownej idei paneuropejskiej. Takie wyjałowienie ducha nastało po okresie szału wzbogacania się przez produkcję i podbijania nią rynków. Gdy nadeszło przesilenie, władcy kapitału marzą o truście. Wszystkie narody mają się zrzec swej osobowości, swoich przeznaczeń, swojej osobistej twórczości, aby wyrównywać interesy kapitału.

Istotnie kombinatorzy zbyt daleko wykraczają poza realne granice psychiki narodów. Nacjonalizm im przeszkadza, więc myślą, że przy pomocy żydów i organizacyj tajnych wykorzenią go i na „walnem zgromadzeniu“ narodów, uda się interes paneuropejski załatwić — większością głosów.

KSIĄŻKA O ROSJI

Z POWODU zbrojnego zatargu Sowietów z Chinami stała się tematem na czasie Rosja dzisiejsza. Gdzie szukać o niej informacji? Niedawno wyszła we Lwowie książka Hieronima Poleskiego p. t. „Rosja wczoraj — dziś i jutro“ (Nakładem Tw. Bibljoteka Religijna str. 380). Jest to jedno z tych dzieł podstawowych, które polak obowiązany z racji swego sąsiedztwa znać Rosję lepiej, powinien był napisać, aby świat wiedział, na jakich podstawach spoczywa Rosja dzisiejsza. W natłoku spraw sensacyjnych niedostatecznie uwzględniono to źródło w naszej prasie. W „Myśli Narodowej“ pisał o książce Poleskiego Wład. Jabłonowski (nr. 20 i 21 z r. 1928), przyznając jej poważne w literaturze politycznej znaczenie.

Z powodu właśnie tej recenzji otrzymaliśmy od jednego z czytelników uwagi następujące:

*

Książkę H. Poleskiego „Rosję“ czytałem z wielkiem zainteresowaniem. Znalazłem tam rzeczy, o których p. Jabłonowski pisze niewiele, a co mojem zdaniem stanowi istotę dzieła.

Historjozoficznie oświetlony przegląd dziejów Rosji, od którego autor zaczyna, zaraz po oryginalnie ujętym przeglądzie literatury, w końcu czwartego rozdziału przechodzi do opisu obecnej rewolucji. Samej rewolucji poświęca on cztery obszerne rozdziały, doprowadzając rzecz do końca 1926 roku, rozważaniom zaś przyczyn rewolucji i horoskopów przyszłości ostatnie dwa. Wizyjne, a jednak mające głęboki sens realny zakończenie, zamyka książkę i łączy się ze wstępem w jedną całość.

Temat jest traktowany wszechstronnie, uwzględnione zostały wszystkie elementy geograficznej, etnicznej i społecznej natury. Kwestji konspiracji poświęcono też wiele uwagi i to w sposób wielce objektywny. Książka p. Poleskiego stanowi pozatem kopalnię wiadomości o Rosji bardzo sumiennie zestawionych i głęboko przemyślanych. Nie można jej czytać pospiesznie. Czasem ma się wrażenie, że autor wysilił się specjalnie na to, aby w jednym tomie zamknąć wszystko co dziś o Rosji można powiedzieć. Z tej racji każdy komentarz na dole stronnicy, każdy nawias, każde porównanie ma tam swoje znaczenie. Symbole nie są ot tak sobie wzięte, z powietrza, lecz odpowiadają bardzo realnym faktom. Są to raczej skróty myślowe pozwalające jednem słowem wiele bardzo wyrazić. Jak widać z treści książki musiał on był widzieć wiele z tego, co opisuje, przeżyć osobiście wiele momentów, którym poświęcone są najbardziej porywające ustępy, zawierające opisy decydujących chwil (zdobycie Kremlu, śmierć Lenina, rozdźwięki w partji komunistycznej). Te ustępy wynagradzają czytelnikowi pracę nad zgłębianiem treści opisów i zestawień faktów.

Ze wszystkich słów książki przeziera głęboka wiara w jasną przyszłość, w zwycięstwo prawdy i dobra. O obu wieszczach naszych nie ma tam, o ile sobie przypominam, żadnej wzmianki, a jednak bije ze wszystkich kart wpływ ich oraz zewsząd przeziera wyznanie tej dawnej wiary w misję dziejową Polski, która kazała tylu generacjom walczyć o jej Niepodległość i która dziś każe nam walczyć o jej wielkości.

Rosja według autora idzie ku ruinie zupełnej, opętana przez wroga, antychrześciańską konspiracją. Moment wewnętrznej reakcji musi przyjść i to w bar-

dzo krwawej formie. Element rosyjski bogato uposażony zdolnościami, lecz bezwładny, potrzebował od głębokiego średniowiecza, aż po dzień dzisiejszy współudziału elementu obcego, organizującego i wtedy mógł być aktywnym. Potęga Rosji jest połączona z aktywnością elementu obcego. Problem ten nazywa autor zagadnieniem Waregizmu. Przy nadchodzącej burzy dziejowej rolę Waregów mogą i muszą odegrać Polacy. Sądzę, że dopełnię niedopowiedzenia „Rosji“ zaznaczając, że gdyby Polaków nie było stać na zwaregizowanie Rosji w pewnym momencie, wtedy uczyniliby to Niemcy, a wtedy znów Polska byłaby zagrożona w żywiołowy wprost sposób.

Rozwijając logicznie i zasadniczo myśl dochodzimy do wniosku, że autor sformułował jedną z tajemnic naszego posłannictwa dziejowego. Przyjazne ustosunkowanie się Polski do Rosji, poprzedzone przez konsolidację naszego państwa otwiera dla nas perspektywy wielkiej doniosłości tak ekonomicznej jak politycznej. Dziś gdy wiemy, że trzy czwarte wysiłków międzynarodowej konspiracji dążyły do wiekowego skłócenia Polski z Rosją, idea Poleskiego nie powinna być dla nas utopją. I tę prawdę uważam za główną ideę książki.

Książka przeszła bez ogólnego zwrócenia na się uwagi. Gdyby nie Jabłonowski nicbym o niej nie wiedział.

J. K. PIOTROWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

SPRAWIEDLIWOŚĆ SZYBKA I POWOLNA

„MUZEUM“, organ Tow. Nauczycieli szkół średnich i wyższych (zesz. I z r. 1929) podaje, że w jednem z gimnazjów na terenie południowo-wschodnim Rzeczypospolitej w r. 1928 nauczyciel zawiadomił dyrektora zakładu, iż pewien uczeń (A.) podarł portret ówczesnego prezesa rady ministrów, pokazany mu przez kolegę. Wprawdzie stało się to w trakcie figlów koleżeńskich na temat niedawnych wyborów, wprawdzie winowajca, jakkolwiek zirytowany żartami politycznemi kolegi, przed podarciem obrazka oddarł z niego herb państwa, by orła polskiego nie zniszczyć nawet w irytacji, wprawdzie winowajca sprawował się przedtem bardzo dobrze—mimo to jednak postępek jego stał się przedmiotem narad Rady Pedagogicznej, która:

„uchwaliła prawie jednogłośnie obniżyć notę z zachowania uczniowi A. na „nieodpowiednie“, gdy zwyczajnie miewał „bardzo dobre“ i zagrozić mu usunięciem z zakładu w razie jakiegoś nowego wybryku.

Kuratorjum zatwierdziło uchwałę Rady Pedagogicznej“.

Podajemy ten fakt jako ogłoszony w czasopiśmie nauczycielskiem, gdzie stał się on przedmiotem drobiazgowej analizy psychologicznej. Nie jest to jednak fakt odosobniony, przeciwnie z różnych stron państwa donoszono nam niejednokrotnie o natychmiastowej i niezwykle surowej reakcji władz szkolnych na fakty nieposzanowania portretów współczesnych dostojników. Zauważono, że zwłaszcza miesiące marzec i listopad obfitują w sprawy dyscyplinarno-szkolne na tle braku szacunku dla władzy, usymbolizowanej portretami. Obok epidemji grypy, szalejącej zazwyczaj w tych miesiącach, rozwija się wówczas pono nagminnie w szkołach jakaś obrazomanja, tj. manja obrazów (i manja obraz). W czasie tych „sezonów uroczystościowych“ nieszczęsny dyrektor gimnazjum musi mieć wzrok i słuch w trójnasób wyostrzony. Musi pilnować, czy wszystko co trzeba — wisi i czy wisi na swojem miejscu, musi dbać czy pewne modne dziś melodje wykonywane są bez fałszów i słuchane z należytem skupieniem, wreszcie musi czuwać nad powagą młodzieży w odnoszeniu się do różnych organizacyj sportowo-politycznych, do ich przemarszów, przebiegów, prześpiewów i mniej lub więcej „zakrapianych“ zabaw.

W razie uchybień sprawiedliwość szkolna działa tu szybko, sprawnie i surowo.

— — — — — — — — — — — — —

Nie zawsze jednak działa ona tak sprawnie... Oto już kilka tygodni temu zdarzył się jak wiadomo we Lwowie wypadek niesfornego wybryku młodzieży żydowskiej wobec procesji katolickiej. Mówimy ostrożnie o niesfornym wybryku, choć możnaby to wyrazić dużo ostrzej. Społeczeństwo, które zostało poruszone surową karą jaka spotkała demonstrujących akademików ze strony władz policyjnych i sądowych, oczekuje z niecierpliwością, jaka też kara spotka ową niesforną młodzież żydowską, która stała się przyczyną wzburzenia we Lwowie i w całym kraju.

Ale tu sprawiedliwość szkolna nie jest już tak sprawna. O żadnej reakcji z jej strony nie słyszeliśmy.

Widać w czerwcu administracja szkolna nie bywa tak chybka jak w marcu.

W. JAWORSKI

NAUKA I LITERATURA

WYBÓR POEZYJ KASPROWICZA

AUTOR studjum o twórczości Jana Kasprowicza, Stefan Kołaczkowski, opracował dla Bibljoteki Narodowej (Nr. 120), wydawanej przez Krakowską Spółkę Wydawniczą, „Wybór poezyj“ tego poety. Wykład o Kasprowiczu zajął str. 38, poezje wybrane objęły str. 264. Przytem portret według D. Kotowskiego z r. 1898.

Wstęp Kołaczkowskiego składa się z życiorysu, szkicu syntetycznego o rozwoju twórczości poety, szkicu o jego artyzmie i z ogólnej charakterystyki. Tego rodzaju charakterystyka, podana pewno z myślą o użytku szkolnym, nie może oczywiście pogłębić tego, co już o Kasprowiczu pisano. Zwłaszcza, że Kołaczkowski ogranicza się do opisowości, która jest dydaktycznie sucha i twarda, a ponieważ autor przerobił gdzieindziej twórczość szczegółowo, a tutaj ogranicza się do wyników, więc suche ich zestawienie obciąża pamięć czytelników, ale konturów wizerunku w nią nie wraża.

Kołaczkowski stara się zamknąć szczelnie Kasprowicza w łożysku historji literackiej, co niezmiernie redukuje twórcę, którego siłą—jak sam krytyk przyznaje—był instynkt życia i kult życia. Stąd typ psychiki religijnej. Bez tła historyczno-społecznego i rasowego trudno go pojąć. Kołaczkowski wystrzega się bacznie psychologji czucia narodowego i jest pod tym względem człowiekiem pewnego wyznania politycznego, co (rzecz dziwna dla krytyka naukowego) na każdym kroku podkreśla nawet w szkicu szkolnym. Gdyby tyle miejsca poświęcił wyjaśnieniu natury patrjotyzmu Kasprowicza, co dajmy na to wpływowi na twórczość drugiej jego żony, dusza jego wypadłaby w obrazie plastyczniej.

Kołaczkowski każe czytelnikowi zapamiętać taką nocję o Kasprowiczu: „Mimo związków sympatji z poszczególnymi działaczami politycznymi narodowej demokracji, (wymienia Popławskiego i Wasilewskiego bezpośrednio przedtem) nie był on człowiekiem o strukturze

psychicznej im pokrewnej". Co to kogo obchodzi? A przytem to nieprawda, bo właśnie z tymi ludźmi miał wiele krewnego, wogóle Kasprowicz — mamy prawo złożyć to świadectwo autorytatywnie—jeśli chodzi o postawę psychiczną, był najlepszym wyobrazicielem pokolenia „wszechpolaków". Kołaczkowski nie umie tych rzeczy się dotykać i dziwnie ciasny ma pogląd na życie (a Kasprowicz czuł życie we wszystkich przejawach!) Oto jak mu się wyobraża stosunek Kasprowicza do frontów wielkiej wojny.

„Pochodząc z zaboru pruskiego, doznawszy sam w młodości ucisku germanizacji, związany nadto licznemi związkami zażyłości z wybitniejszymi przedstawicielami narodowej demokracji, przechylił się poeta do t. zw. orjentacji koalicyjnej, nie był jednak i nie mógł być, jak każda wybitna indywidualność, człowiekiem partji".

Co to znaczy? Krytyk usiłuje usprawiedliwić Kasprowicza, że sprzyjał frontowi koalicyjnemu i źle życzył Niemcom. Usprawiedliwiają go osobiste przejścia w młodości. Gdyby nie to, Kasprowicz nie byłby zdolny wznieść się na poziom prawdy dziejowej. Uwiodło go zresztą złe towarzystwo pewnych jednostek, ale — broń Boże — nie był człowiekiem partji. Ot poprostu słaby polityk, jak to poeta, idący za impulsami osobistemi, popełnił krok niewłaściwy—„przechylił się" ku złej orjentacji...

Kołaczkowski takiem stawianiem pionu Kasprowicza dał dowód—przykro to powiedzieć—że nie zna życia polskiego i nie rozumie Kasprowicza jako człowieka. Kasprowicz należał do najtęższych umysłów polskich, a zwłaszcza do najgłębszych instynktów polskich. Może byłby złym posłem do sejmu w sprawach budżetowych, ale odmawiać mu instynktu, gdy całą wielkość jego poezji widzi się w potędze tego instynktu życia, to błąd przeciwko logice, robiony na obstalunek polityki. Krytyk takich głębokich postaci powinien trochę orjentować się w środowisku poety. Niech pan Kołaczkowski wskaże, gdzie w którym zaborze lud polski podczas wojny dobrze życzył państwom centralnym. A potem niech wskaże rozumnych ludzi oświeconych (a prawego charakteru), którzyby nie podzielali orjentacji koalicyjnej. Nie trzeba się było „przechylać", trzeba było być dobrym Polakiem.

Do zjawisk literackich tak wielkich nie wypada przystępować z miarką polityki przygodnej (narodowa jest wieczna). Trzeba być wielkodusznym: może to przykre dla kogoś, że nie może wpisać nazwiska Kasprowicza w jednym rzędzie z Sieroszewskim, Daniłowskim, Strugiem, Bandrowskim, ale przecież powinien u krytyka wziąć górę człowiek z miarą historyczną, nie kółkowo-towarzyską. Wogóle p. Kołaczkowski uwłacza powadze krytyki, wdając się w sprawy partyjne. Co kogo obchodzą przy Kasprowiczu partje? Kasprowicz był wyobrazicielem wielkiego prądu narodowego, był typem pewnego sposobu czucia i myślenia narodowego, w tym zakresie był inspiratorem. Jeżeli Żeromski się wyłamał ze swego towarzystwa z powodu złej orjentacji wojennej, to skądżeby Kasprowicz miał do tego towarzystwa wchodzić, człowiek zupełnie im obcy duchem?

Aż przykro na takie tematy wieść spory w tej sferze. Czasy są marne, gdy polityka przeżera naukę, gdy ludzie przy każdej sposobności popisują się swoją marką, że należą do „reformacji" narodowej. Praca na tem traci.

Gdyby p. Kołaczkowski miał czysty pogląd na Kasprowicza, bez tego rodzaju ubocznych względów, to nie popełniłby błędu portretowego na samym początku, błędu przeciwko smakowi literackiemu, jak ten, że rozpoczął zbiorek od utworu „Nienawidzę". Był to przecież poeta „Miłości". Można było zacząć od słońca czy wiosny. To „nienawidzę" daje charakter opaczny całemu wyborowi poezyj.

W.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem F. Hoesicka zaczęły wychodzić serjami recenzje teatralne jednego z najwybitniejszych krytyków i teatrologów warszawskich Jana Lorentowicza. Z czterech tomów, na które autor podzielił materjał, ukazał się teraz tom pierwszy, obejmujący recenzje z dzieł autorów dawniejszych polskich. Polscy autorowie współcześni krytykowi zajmą tom drugi, autorowie obcy dalsze dwa tomy. Tom obecny obejmuje 25 autorów, a recenzji przeszło 60 (stron 553). Autor poważnie, niemal z namaszczeniem, traktuje każde swoje zadanie pisarskie. Teatrem zajmuje się serjo. Należy zaś do tych krytyków, którzy mają dostateczną wiedzę po temu, aby zajmować się oceną zarówno treści literackiej dzieła, jak i form, które im teatr nadaje. Recenzje mają zawsze dobrą formę literacką i mają, jak to było w tradycjach prasy warszawskiej przed wojną, charakter dystyngowanej rozmowy z przednią sferą oświeconą.

Książka nosi tytuł „Dwadzieścia lat teatru", ale właściwie jest w niej lat więcej, recenzje bowiem noszą daty od r. 1905 po 1928. Dokładny skorowidz zamyka dzieło, bardzo starannie i pokaźnie wydane.

*

Znany czytelnikom „Myśli Narodowej" autor — Felikz Chwalibóg wydał w książeczce, wytwornie wydrukowanej przez Anczyca, pierwszą serję swoich kapitalnych „Aforyzmów, refleksys i nowych przysłów". Wydał własnym kosztem, księgarze bowiem bali się ryzykować. Z czasem — tak prorokujemy — sentencje Chwaliboga będą starannie wydawane i wejdą do literatury. Są one nie tylko wytworne pod względem literackim, ale mądre. Słynąłby powieściopisarz, czy dramaturg, któryby mógł swoją prozę okrasić tego rodzaju perłami. Sentencje takie nie płyną z pióra na zawołanie talentu, trzeba wiele przeżyć, żeby doświadczenie i rozmyślanie tak skroplić. Chwalibóg ma w sobie dobrą kulturę łacińską, ściślej francuską. Zdania jego przypominają La Rochefoncaulda, trochę filozoficzność Hebbla. Przeważa jednak polska pogoda i ludzkie dotknięcie do serca bez okrucieństwa. Oto parę przykładów:

Wymagania nasze są bardzo skromne, gdy chodzi ...o cudze szczęście.

Ubogi — całe życie małoletni, nie będąc nigdy młodym.

Mniej oburza zbrodnia, jak uznanie jej za czyn słuszny.

Najcięższe do czytania dzieło — to pusta książka.

Zdrowy rozsądek trafia się tak rzadko, że można go zaliczyć do zboczeń umysłowych.

Albo przysłowia Chwaliboga: Zwierzeń granica — cudza tajemnica. — Zapomina adresu—kto niema interesu. — Za motylem—nie goń automobilem. — Uprzejme słówka—to jak gotówka. — Ptaszki się garną—gdzie widzą ziarno. — Nie gardź chudym póki żyje—bo może kiedyś utyje.

„Myśl Narodowa" w latach 1927—28 ogłosiła paręset aforyzmów Chwaliboga.

*

O książce Zygmunta Wasilewskiego „Poeci i teatr"—„Myśl Narodowa" ze względów zrozumiałych nie zamieściła recenzji. W tem miejscu notujemy tylko, że były o niej recenzje, o ile nam wiadomo: w „Kurjerze Warsz." Z. Dębickiego nr. 65 z rb., w „Tęczy" J. E. Skiwskiego, w „Tygodniku Ilustr." S. Miłaszewskiego (nr. 23), w „Dzienniku Wileńskim" S. Cywińskiego (nr. 124), w „Słowie" wileńskim Cz. Jankowskiego (nr. 107), w „Gazecie Warszawskiej" E. P. (nr. 207) i Ignacego Chrzanowskiego (nr. 209). w „Pamiętniku Warszawskim" zesz. 2 St. Adamczewskiego. Wszystkie recenzje wyrażają autorowi uznanie pomimo krytycznych zastrzeżeń. St. Cywiński pisze: „Daleki jestem sam od stanowiska tego pisarza. Ale przyznać muszę, że w Polsce współczesnej jest może pięciu—sześciu ludzi, którzy mają równie przemyślany i konsekwentny pogląd na świat, co Wasilewski i podobnie jak on skłaniają do myślenia, chociażby budząc sprzeciw". A p. Cz. Jankowski, pełen zastrzeżeń politycznych, pisze: „Wszelako wysokiego respektu dla intelektu o wspaniałej kulturze, tudzież sprężystości i lotności umysłu krytycznego nikt Wasilewskiemu nie odmówi". Prof. St. Adamczewski zarzuca zbytnią pochopność do uogólnień, stwierdza jednak: „Wasilewski u nas ma po Mochnackim zmysł najsilniejszy do wykrywania tego, co tamten nazwał „tellurycznem" podłożem

wszelkiej poezji", a dalej „Wasilewski jest dzisiaj u nas najwybitniejszym przedstawicielem *taine'*izmu w krytyce". Podnosi też rys: „strażnictwo kultury". Prof. Ignacy Chrzanowski: Wasilewski „wznosi się wysoko ponad poziom zwykłego zakresu krytyki literackiej, sięga w dziedzinę psychologji, filozofji, roztaczając przed czytelnikiem całe bogactwo swojej niepospolitej umysłowości, zasilanej rozległą lekturą naukową i wydyscyplinowanej usilną pracą woli, bez której o samodzielnem myśleniu mowy być nie może. Niema u nas dzisiaj krytyka bardziej myślącego, a przez to i oryginalniejszego, niż Wasilewski".

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pani Lucienne Favre autorka powieści „*Bab-el-Oued*" oraz „*L'Homme derrière le Mur*" (Cres édit.), wydaje obecnie „*La Noce*" (Grasset). W prowincjonalnem miasteczku odbywa się ślub Dominique Prospère z Philippe Fortin. Po ceremonji cały orszak ślubny fotografuje się w jednej grupie. Co się z tymi wszystkimi ludźmi stanie po latach dziesięciu? Panna młoda szybko zniechęci się do swego męża, przerażona jego brutalną miłością. Nie pozostanie jej nic innego, jak zakochać się w jego kuzynie dorodnym Marc-Antoine. Ale wybucha wojna. Ukochany umiera, a z tą katastrofą kończy się właściwie i życie młodej kobiety. Dowiadujemy się jeszcze wielu faktów z życia uczestników owego ślubu. Kolejne epizody autorka przeplata niby obrazy w filmie. Naturalizm bezwzględnie w nich dominuje, a także i pesymizm. Całość stanowi mozajkę ciekawą. Styl jędrny.

*

„*La Guerre des Deux Roses*" (Emile Paul). W powieści tej p. Alfred Colling przedstawia nam życie Genevieve Ingleby, młodej, ładnej i inteligentnej panny. Genevieve sierota dobiega dwudziestu kilku lat, nie znając ani życia, ani siebie samej. Razu pewnego przedstawiają jej młodego człowieka, skromnego urzędnika w ministerjum. Jean-Paul jest nietylko niepokaźny ale i niepowabny. Genevieve jednakowoż przechodzi nad tem do porządku dziennego, gdyż uważają go za wielkiego przyszłego powieściopisarza. Genevieve, żądna chwały poślubi go, ale nie doczeka się nigdy ukazania obiecanego arcydzieła. Wówczas oczywiście rozwiedzie się, wychodząc powtórnie zamąż za młodego, eleganckiego dyplomatę, fabrykującego na zawołanie formalnie poezje i powieści. Zostaje on w wypadku samochodowym raniony, ale przed śmiercią oskarża siebie o popełnienie niegodnego czynu wobec właśnie Jean-Paul, pierwszego męża swej żony, a... genjalnego człowieka. Umierając wymoże on na niej, aby udała się do niego, prosząc o przebaczenie. Charaktery bohaterów dobrze nakreślone, dramat zwarty, ujęty w wykwitną formę językową.

*

„*Courrier du Sud*" (Nouvelle Revue Française) jest bardzo aktualną, bo lotniczą opowieścią. Autor jej p. Antoine de Saint-Euxupery opowiada przygody pilota Jacques Bernis, udającego się z Tuluzy do Dakar. Jednakowoż nieopodal Saint-Louis du Sénegal, samolot jego, ostrzeliwany przez Maurów zmuszony jest lądować na piaskach. Jeden z kolegów Bernisa, znajduje jednak całą pocztę, którą przewoził samolot jego i odstawia ją do Dakar. Autor w sposób bardzo malowniczy odtwarza widziane przez pilota obrazy Francji, Hiszpanji i Maroka, a także jego młodą, pełną zapału i śmiałości umysłowość. Jacques Bernis byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby nie miłość jego dla Genevieve, towarzyszki dziecinnych zabaw, dzisiaj kobiety zamężnej. I oto Jacques, jakkolwiek wie, ze Genevieve nie jest szczęśliwą, nie znajduje w sobie dosyć siły i stanowczości, aby ją przekonać do rozpoczęcia z nim nowej egzystencji. Śmiałek ten powietrzny o silnych muskułach, nie posiada dosyć odwagi do wygrania bitwy życiowej. Część też „lotnicza" tej książki jest również znacznie lepiej oddaną od intrygi miłosnej.

*

P. Herbert Wild w „*Le Retour interdit*" (Albin Michel édit.) wprowadza nas do Genewy i jej nowego pałacu obrad międzynarodowych. W miejsce jednak Ligi Narodów powstała Rada Narodów, której dobroczynne promieniowanie daje się coraz bardziej odczuwać na szerokim świecie. Ameryka i Rosja Sowiecka, ci dwaj główni przeciwnicy starego kontynentu, mają w jej łonie swoich obserwatorów". To jednakowoż nie przeszkadza, że postęp na drodze pokoju jest często zagrożony chmurami, gromadzącemi się horyzoncie. Na szczęście, na czele Rady Narodów stoi człowiek pierwszorzędnej inteligencji, Anglik Lord Herbert Orkney.

Wice-prezydentem jest Francuz Arthel, tak zupełnie oddany dziełu międzynarodowemu, że z miłości do niego zaniedbuje własną żonę Sylwię. Piękna Sylwia nie jest jednak tak nieszczęśliwa jak się to mogło na pozór zdawać, gdyż znajduje ona właśnie pocieszyciela w osobie... prezydenta Orkneya. I powoli, pod wpływem kobiety, jej miłości, zaczyna się transformować charakter i wola Lorda Herberta. Aeropag narodów, jego nieskończone intrygi zniechęcają go tak dalece, iż marzy jedynie o opuszczeniu Genewy i pędzeniu spokojnych dni w towarzystwie ukochanej Sylwji. Mąż tej ostatniej wpływa jak może na kochanka swej żony, w którego rękach pozostaje los narodów, żeby go odciągnąć od projektu podania się do dymisji. Jednakowoż sceptyzm z jednej strony do genewskiego aparatu, a miłość kobiety z drugiej, biorą górę. Lord Herbert i Sylwja wyjeżdżają do Włoch, gdzie przez krótki czas trwa ich idylla. Arthel, mąż Sylwji, odkrywa ich miejsce zamieszkania i błaga Lorda Herberta o powrót do Genewy. Sytuacja jest tak poważna, że tylko jego *prestige* potrafi jeszcze zażegnać katastrofę. Lord Herbert jednakowoż odmawia. W Genewie wre. Arthel, jedyny człowiek, mogący utrzymać jeszcze pokój, zostaje przez wysłanników Moskwy zabity. Kiedy jednakowoż Lord Herbert decyduje się wreszcie na powrót do Genewy, będzie już zapóźno. Przejazd niemożliwy, wojna powietrzna i gazów trujących szerzą postrach i śmierć. Orkney gdziekolwiek zostaje poznany, jest uważany za istotnego winowajcę ogólnej pożogi. Opuści go nawet i Sylwja. Powieść barwnie bardzo napisana, cała sieć intryg i różnych ideologij przeprowadzona z dużą znajomością psychologji. Ogólny temat można ująć w krótkie zdanie sformułowane przez Sienkiewicza, zdaje się, że „wola ludzka kończy się tam, gdzie zaczyna się miłość".

*

Przyszła wiadomość o śmierci Hugona von Hoffmansthala, jednego z najwybitniejszych poetów niemieckich. Był on z pochodzenia austrjakiem. Urodził się w Wiedniu 1 lutego 1874 roku. Kompletne wydanie jego poezyj lirycznych ukazało się w r. 1907, gdy już miał ustaloną sławę, jako dramaturg. Pierwszy jego dramat nosi tytuł „*Gestern*" (Wczoraj). Napisany został w r. 1891. W trzy lata później ukazał się utwór „*Der Tor und der Tod*" (Głupiec i Śmierć). W roku 1899 wydał zbiór wierszowanych utworów teatralnych: „*Theater im Versen*". Zmodernizował Sofoklesową *Elektrę* (1903); Eurepidesową „*Alkestis*". Przełożył utwór Calderona (*Die Dame Cabols*) i unowocześnił stary *moralitet*: „jedermann" (1911). Napisał libretto, do wystawionego również i w operze warszawskiej „Kawalera z różą" (*Rosenkavalier*) Ryszarda Straussa. Stworzył też widowisko p. t. „*Ariasne auf Naxos*" wystawione u Reinharda. W r. 1914 napisał sztukę p. t. „*Die Frau ohne Schatten*" (Kobieta bez cienia). Pisał również prozą, nowele, powieści, krytyki i essay'e literackie. Zbiór ich czterotomowy wyszedł w r. 1907 p. t. „*Prosaische Schrifte*".

TEATR

CUD MNIEMANY

UPRZEDZAJĄC (jak zwykle) inicjatywą teatry municypalne Teatr Polski uczcił setną rocznicę śmierci Wojciecha Bogusławskiego (1760—1829) uroczystem przedstawieniem na Rynku Staromiejskim opery jego p. t. „Cud mniemany czyli krakowiacy i górale".

Wojciech Bogusławski nazywany bywa pospolicie „Ojcem teatru polskiego" lub „Twórcą sceny narodowej". Tytuły te nosi słusznie. Mieliśmy wprawdzie już w średniowieczu stałe widowiska religijne (officia rezurekcyjne, gry wielkanocne), mieliśmy w dobie odrodzenia misterja, moralitety, intermedja karnawałowe, mieliśmy później dosyć liczne teatry szkolne i dworskie, ale stała, wielka scena publiczna powstała w Warszawie dopiero za Stanisława Augusta. W r. 1779 z funduszów królewskich wybudowano gmach dla teatru Narodowego na placu Krasińskich. W teatrze owym niebawem zabłysnął talentem wybitny aktor, reżyser, autor dramatyczny, tłumacz a wreszcie dyrektor—Wojciech Bogusławski. Byłto człowiek żelaznej energji, który przez trzydzieści lat borykał się bohatersko z przeszkodami, tamującemi rozwój sceny. Po bankructwie Ryksa, pierwszego dzierżawcy teatru, Bogusławski zorganizował własną trupę i przez sześć lat tułał się z nią po większych miastach prowincjonalnych. W r. 1790 powrócił do stolicy i prowadził

dalej przedsiębiorstwo w warunkach nadzwyczaj trudnych. Rozwijał intensywną działalność pedagogiczną kształcąc kadry młodych aktorów. Dawał podnietę do pisania sztuk autorom polskim. Sam tworzył sztuki originalne i tłumaczył lub przerabiał cudzoziemskie. Prace jego literackie utworzyły dwanaście tomów dzieł dramatycznych, które wydał pod koniec życia. Bogusławski kochał gorąco ojczyznę i propagował ideje Sejmu Czteroletniego. Po upadku insurekcji Kościuszkowskiej musiał Warszawę opuścić. Przeniósł się do Lwowa i wybudował tam teatr na 2.500 osób. Skoro pozwoliły na to warunki polityczne wrócił ponownie do Warszawy i doprowadzając się tem do kompletnej ruiny materjalnej, prowadził tu Teatr Narodowy bez przerwy przez lat czternaście. Wybudował również teatr w Kaliszu, przyczynił się do wzniesieni teatru w Poznaniu, w r. 1811 założył pierwszą w Polsce szkołę dramatyczną. Wielki X. Warszawski przyznał mu rok przedtem 36 tysięcy złotych rocznej subwencji. Suma ta była zbyt mała, żeby mogła ocalić Bogusławskiego od bankructwa. W r. 1814 objął po Bogusławskim dyrekcję T. Narodowego zięć jego — Ludwik Osiński. Sam Bogusławski, po złożeniu dyrektury—przez szereg lat oddawał się jeszcze z zapałem pracy aktorskiej występując zarówno na scenie stołecznej, jako też objeżdżając teatry prowincjonalne. Takie są w ogólnym zarysie tytuły jego do nazwy ,,ojca sceny narodowej''.

Pomiędzy produkcją autorską Bogusławskiego na pierwsze miejsce wysuwają się cztery utwory oryginalne: „Spazmy modne", „Dowód wdzięczności narodu", „Henryk VI na łowach" i „Cud mniemany czyli krakowiacy i górale". Premjera tej ostatniej sztuki odbyła się w dniu 1 marca 1794 r. Zdaniem p. Eugenjusza Kucharskiego, utwór odegrał podobną rolę wobec insurekcji Kościuszkowskiej, jak „Wesela Figara" wobec rewolucji francuskiej. Bogusławski w sztuce tej wprowadził po raz pierwszy na scenę lud polski, któremu włożył w usta mnóstwo przejrzystych aluzyj aktualnych. Aluzje owe spowodowały nakaz zdjęcia sztuki z afisza po trzech przedstawieniach. Autor musiał utwór przerobić i w tej przerobionej wersji wystawił go do roku 1820 144 razy. Drugiej przeróbki Krakowiaków i Górali dokonał Jan Nepomucen Kamiński. Przeróbka owa cieszyła się olbrzymiem powodzeniem w całej Polsce. Teatr Polski w Warszawie wystawił ją z sukcesem niemałym przed laty szesnastu.

Żadne chyba z dotychczasowych przedstawień „Cudu mniemanego ,,nie miało tak wspaniałej, zarówno pod względem efektowności jako też nastrojowości—oprawy, jak przedstawienie zeszło — sobotnie na Rynku Staromiejskim. Pogoda była idealna. Plac zaległy wielotysięczne tłumy. Wszystkie okna umalowanych barwnie kamienic rynkowych obsadzone były szczelnie. Pomiędzy Krzywem Kołem a Wąskim Dunajem Karol Frycz zbudował podjum sceniczne pod czerwonym namiotem, oświetlonym rzęsiście reflektorami. Główne role wodewilu-operowego odśpiewali i odtańczyli pp. Zajączkowski, Munclingrowa, Modzelewska, Mierzejewski, Strachocki, Dominiak i Białoszczyński. Pani Tacjanna Wysocka ułożyła tańce, orkiestrę prowadził p. Jerzy Bojanowski. Przed widowiskiem p. Marja Przybyłko-Potocka wygłosiła prolog pióra Or-Ota.

Na przedstawieniu było wielu cudzoziemców: amerykan i anglików. Oklaskiwali w niebogłosy tańce góralskie i krakowskie, które podobały im się bardzo. Co za szkoda że nie rozumieli piosenek! Apostrofy do elektryczności i pacyfistyczne kazanie Bardosa wprawiłyby ich niewątpliwie w zachwyt. Bogusławski, współcześnik Waszyngtona i Franklina wyznawał zasady modne dzisiaj.

ZASTĘPCA

OFENSYWA

BONAPARTE A ASZKENAZE

PAN ambasador Chłapowski wręczył panu prezydentowi Francji na specjalnem posłuchaniu medal pamiątkowy odsłonięcia pomnika Mickiewicza oraz egzemplarz drukowanej po raz pierwszy powiastki kolegi Napoleona Bonaparte p. „Clisson i Eulalia". Niektóre pisma dodały do tego: „manuskrypt odnaleziony przez prof. S. Aszkenazego".

Nie jest to ścisłe. Nie dopiero prof. Aszkenaze „odkrył" ten rękopis w Bibljotece Kórnickiej gdyż rękopisu „odkrywać" nie trzeba było. Tak cała rodzina Zamoyjskich, jak i uczeni i bibliofile o egzystencji tego rękopisu Napoleonskiego dobrze wiedzieli, a wiele osób w ręku go miało i z pięknym pietyzmem oglądało. Profesor Aszkenazy nie jest tedy żadnym „odkrywcą" a tylko wydawcą, komentatorem. Niepotrzebnie tedy „Epoka" ośmiesza swego patrona ubierając go w pstre piorka pożyczanej zasługi. Nietaktowne też znowu, że p. Aszkenaze pozwala tak na wywlekanie swego nazwiska w celach reklamowych, korzystając z lada przygodnej okazji. Całkiem zaś już niedobrze jest, ze panu Szymonowi tak odstąpiono już dożywotnio pacht i arendę na Napoleonizm. Inteligencja stolicy Polski czytająca i kształcąca się na dziennikach i kurjerkach jak zna z nazwisk tylko trzech polskich historyków tj. Aszkenazego, Handelsmana i niejakiego Eilego (pułkownik z Krakowa), tak też za jedynego Plutarcha i Takididesa polskiego uznaje p. Aszkenazego. O nim bowiem czyta najwięcej „wzmianek" i „essayów". Mogą sobie Szelągowski, Sobieski, Skałkowski i tylu tylu innych wydawać tom po tomie ale do Warszawy, do Warszawki to nie przenika, nie przedostaje się. Tu znani są tylko Aszkenaze, Handelsman, a ostatnio niejaki H. Eile (dawniej sklep z wiedeńską galanterją przy ul. Grodzkiej w Krakowie). Nawiasem mówiąc ten ostatni p. Eile spłatał redakcji dziennika w którym zamieszcza swoje „essaje" ostatnio dość złośliwego „witza". Drukując w Kadenowskim „Głosie Prawdy" taki „essay" o „200-lecie dziennikarstwa polskiego", omawiając stosunki prasowe za W. Księcia Konstantego Pawłowicza przed powstaniem i zaznaczając, że w Warszawie ówczesnej wychodziło 9 dzienników i 18 czasopism, wsunął sobie p. Eile podstępnie taki passus liberalistyczny, nie licujący z dyktatorskim organem, bo zawierający alluzje dość grube: „Pokaźne — jak na ówczesne czasy — cyfry. Ale ze stanem liczbowym nie szła w parze ani rozmaitość ani rodzaj treści. Nie reprezentowały jakiejkolwiek myśli, jakichkolwiek przekonań. Sprawiała to bezwzględna cenzura wprowadzona wbrew gwarancjom konstytucyjnym. Istniała za czasów pruskich, ostała się w dobie Księstwa Warszawskiego i dostała się w spuściźnie Królestwu Polskiemu. Zniósł ją dopiero w połowie grudnia 1830 r. rząd powstańczy. Zgrany zespół: w. ks. Konstanty, Nowosilcow, Zajączek, Grabowski i Szaniawski w zupełności wyeliminowali przed stu laty prasę z życia publicznego. Od czasu do czasu jedynie mogła delikatnie zabrać głos w jakiejś kwestji politycznej".

P. H. Eile specjalizuje się do ery Królestwa Kongresowego. Pana Aszkenazego zaś opinja publiczna uznała raz na zawsze za najgłębszego eksperta, rzeczoznawcę i konesera od Napoleonizmu. To nie jest w porządku. I to z wielu powodów. Przedewszystkiem z tej racji, że jest już najwyższy czas na fundamentalną rewizję naszego ustosunkowania się do fenomenu Napoleona i to w myśl orjentacji Staszyca, Koźmiana, Kościuszki, z poddaniem surowej analizie krytycznej entuzjazmu romantyków w szczególności Mickiewicza, Towiańskiego, Norwida i Hoene-Wrońskiego. Pan Aszkenazy chcąc się wkupić w fawory szerokiego społeczeństwa polskiego, poszedł oczywiście z prądem po linji romantyków, egzagerując tendencyjnie pozytywne plany Napoleona co do wskrzeszenia Polski. Jest już tedy absolutnie czas na sprowadzenie tego do właściwej miary i na pomniejszenie tej legendy. Dokonać tego może oczywiście historyk tylko polskiej prozapji, Aryjczyk, nie „potrzebujący" wkupiać się w łaski ogółu smarowaniem go miodem i przysięganiem na jego ideały i bożyszcza a więc żaden z... Ghetta. Świeżo wydany w Paryżu: „Pamiętnik koniuszego Caulaincourta księcia Vincenzy, który jaknajszybciej powinien być tłumaczony i wydany po polsku może stanowić jeden z głównych „zrębów" odbudowy tej legendy.

Pozostawienie zaś nadal w rękach Aszkenazego monopolu i pachtu na Napoleonizm jest i z tego punktu niebezpieczne, że w ostatnich czasach (r. 1928 i 1929) „Mocarstwo Anonymowe" i jego najmici aryjscy cokolwiek podejrzanie i pozornie z „niewiadomych przyczyn" roztaczają patronat nad Napoleonem, nad Bonapartyzmem wogóle.

Niemieckie i francuskie teatry zapowiadają na jesień granie jakiejś fantastycznej sztuki o Napoleonie, który uciekł z wyspy św. Heleny, pióra... Edwarda Herriota,..

W Kolonji grano sztukę młodego starozakonnika Ilgesa pt. „Laterne" z apoteozą dyktatury Napoleona.

W „Komedji Francuskiej" (!) w czerwcu grano sztukę Bernarda Zimmermanna nowego semickiego asa autorskiego pt.: „Pauvre Napoleon".

Mocno już zwietrzały Dymitr Mereżkowski, też ostatnio popisał się apologją Bonapartyzmu.

Najcharakterystyczniejsze jest jednakże grube tomisko największego dziś „*star*" i *championa* Mocarstwa Międzynarodowego, tj. Emila Ludwiga *Cohna* z Berlina, dziko i opętańczo reklamowanego wirtuoza monografistycznego reportażu, szarlatana stylistycznego, w tendencjach swoich bezceremonialnego szalbierza i oszusta. Rajzender-essayista Emil Ludwig okazał się tak fanatycznym adoratorem Napoleona jak nasz Aszkenaze, tylko podczas kiedy nasz nadwiślański „Emil Ludwig" przesyca i przepaja Bonapartego miłością do Polski i Polaków, berliński Aszkenazy Polaków w epopeji Napoleońskiej omal nie widzi, omal o nich nie wspomina, nie „dostrzega"... Jak tu pogodzić te dwie „prawdy" historyczne, prawdę Aszkenazyjską z prawdą berlińsko-Cohnoską?

Jak zwykle prawda merytoryczna, prawda potencjonalna leży w pośrodku ale jak najdalej od wszystkich żydów, którzy zawsze ze zbyt egzaltowanym rejwachem zachwalają swój towar.

Żydzi, jako Nomadzi, jako luftmensze wywietrzyli z powietrza haussę cezaryczną. Widząc „bomby gazowe" odebrane „ludowi" z rąk, a w rękach pretorjanów, stają wszędzie już przeciw „motłochowi", a po stronie „bohaterów". Asekurują się obustronnie ale większe stawki płacą u dyktatorów. Napoleonizm będą więc tak fałszowali jak wszystko co pod ręką.

A tymczasem i w tym napoleonizmie są pewne momenty i pewne motywy które prof. Aszkenazy mógł właśnie teraz „odkryć" i „wynaleźć" na benefis" swych rodaków, zamiast rzekomo „odkrywać" romans pisany przez Napoleona.

W zastępstwie prof. Aszkenaza zrobiła to atoli „*Revue des deux Mondes*", (numer Czerwcowy 1929) ta sama zresztą, która pamiętnik Caulaincourta odkryła.

„Głos Narodu" przytacza je ad usum Delphini Głosu Prawdy:

Czy tedy nasz aszkenazjatyzm może się powoływac dzisiaj choć w minimalnej mierze na prototyp Napoleoński? Przenigdy.

Jakie były bowiem poglądy „Boga wojny" na najważniejsze *questiones quae pendent* (jak mówi Sforka intendent)?

Na obsadzanie dygnitarstw cywilnych pułkownikami:

„Nigdy rządy wojskowe nie zapuszczą korzeni, o ile naród nie zostanie ogłupiony przez 50 lat ignoracji. Cnoty wojenne nie wystarczają do nadawania komuś prawa rządzenia".

Jak się zachował wobec antagonistów?

„Rządzić na rzecz jednego stronnictwa, to stać się zależnym od niego. Nie wezmą mię na to. Jestem narodowym"... gdzieindziej:

„Zwyciężyliśmy—wszystko zapomniane".

Jak się zapatrywał na rugi, rugomanję i masowe fabrykowanie emerytów?

„Pragnę — żeby 10 lat mego urzędowania upłynęły bez potrzeby usunięcia jednego bodaj ministra, jednego generała, jednego radcy stanu".

Jak mówił o rządach przed-majowych, tj. przed-brumairowych?

„Od Klodwika do Komitetu ocalenia publicznego—uważam się za solidarnego ze wszystkimi. Oczernianie rządów, które mnie poprzedziły, uważam jako chęć obrażenia mojej osoby. Wiem, że stało się rzeczą modną wychwalać mnie, a zniesławiać Francję. Ci wszakże, co nie kochają Francji, nie kochają mnie".

Jak widzimy z tego pobieżnego zestawienia mów, powiedzeń, z listów i z... czynów Napoleońskich można wydestylować i taki ...Bonapartyzm... utemperowany, obłaskawiony, humanitarny, ludzki.

Ale to nie będzie w duchu „Starego Zakonu". Ani Emil Ludwig ani Szymon (aszkenazyjscy) nie „odkrywają" takiego Napoleona współcześnikom europejskim, któryby potępiał to przedewszystkiem, że się wychwala siebie (Napoleona) a zniesławia Francję, (czy Polskę).

Ich zniesławienie Polski ani ziębi ani grzeje ani boli ani gryzie.

Z tej racji i w Polsce Napoleona trzeba wyzwolić z pod pachtu i protekcji Aszkenazych. Poco nam i dla tej legendy ten „schadchen", ten pośrednik, ten makler zresztą *di primo cartello?*

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W związku z nanowo zaktualizowaną „Pierwszą brygadą", której tekst (zresztą nie całkiem ścisły) przytoczyła niedawno „Awangarda", warto przypomnieć pewne dane, związane z jej genezą, a ogłoszone przez autora, p. Andrzeja Hałacińskiego w 295 nr. „Kurjera Wileńskiego" z r. ub. Otóż dowiadujemy się z tego artykułu, że gdy na temat autorstwa tej pieśni wywiązała się gorąca polemika na łamach prasy pewnego kierunku („Polska Jutrzejsza", „Kurjer Wileński", „Ilustrowany Kurjer Krakowski" i „Przedświt"), p. premjer ministrów, dr. Kazimierz Switalski, „zażądał, z polecenia Komendanta, wyjaśnienia kwestji."

Stosując się do tego żądania autor szczegółowo tłumaczy warunki powstania tej pieśni, nazwanej przez min. Piłsudskiego, „najdumniejszą pieśnią polską", i podaje jej tekst autentyczny, który tu przytaczamy:

Legjony — to żebracza nuta
Legjony — to ofiarny stos,
Legjony — to żołnierska buta,
Legjony — to straceńców los.

My pierwsza brygada,
Strzelecka gromada
Na stos
Rzuciliśmy swój życia los
Na stos, na stos!

Nie chcemy już od was uznania
Ni waszych mów, ni waszych łez,
Skończyły się dni kołatania
Do waszych dusz,..... was pies!

Zwracając uwagę czytelników na ten jedynie autentyczny tekst tej pieśni, podkreślamy, że wyraz wykropkowany w wierszu ostatnim jest przez p. Hałacińskiego oznaczony właśnie pięciu literami. Czyż więc wobec tego twierdzenia samego autora, pieśń ta może pretendować do czci śród tego społeczeństwa, które właśnie ów „pies"... poniewiera?

*

Pewien polityk, gdy mu powiedziano, jakoby Stronnictwo Narodowe szukało porozumienia z BB rzekł:

— Rozumiem cel, gdy ktoś skupuje akcje, które spadły, ale jeszcze mogą pójść w górę, ale nie wierzę, żeby miały amatora akcje, które już nigdy w górę nie pójdą.

*

Żeby zabić stronnictwo Narodowe, które broni Ojczyzny od rabusiów i mafij, sanacja uciekła się do siły.

— Niszczymy — mówili — partyjnictwo!

A teraz gdy rozbili słabsze ugrupuwania i narobili gnoju, gdy ludzie małego serca wyrzekli się troski o sprawy publiczne i z rezygnacją przyszli do wniosku: *fajdanitas fajdanitatis et omnia fajdanitas*, to organ tej sanacji, polegającej na niszczeniu partyjnictwa, wypisuje artykuły o „ludziach nijakich" (Głos Prawdy nr. 186), którzy są neutralni i stronią od polityki, jako o pladze społeczeństwa. Logika ludzi małych z ptasiemi mózgami, które sobie myślały, że nikczemność starczy za rozum.

OD WYDAWNICTWA.

Zwracamy się z prośbą do Sz. Czytelników „Myśli Narodowej", aby zechcieli nie zwlekać z przesyłką prenumeraty — i żeby o ile możności — nadesłali ją z góry za całe półrocze, co wypadnie im taniej, a wydawnictwu zrobi wielką dogodność.

Przypominamy też zaległości!

Warunki i nr. czeku podane są na końcu zeszytu.

TREŚĆ:
Z dziejów ruchu narodowego *Z. Wasilewskiego.* — Antysemityzm wśród inteligencyi *J. L. Popławskiego.* — Z bolączek uniwersyteckich *J. Tura.* — Powodzenie Szukalskiego *K. L. Konińskiego.* — Świt i poranek *St. Bąkowskiego.* — Liberum veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Handel żywym towarem narodów; Książka o Rosji. — Wychowanie narodowe *W. Jaworskiego.* — Nauka i literatura (Wybór poezji Kasprowicza *W.* i t. d.). — Teatr *Zastępcy.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM